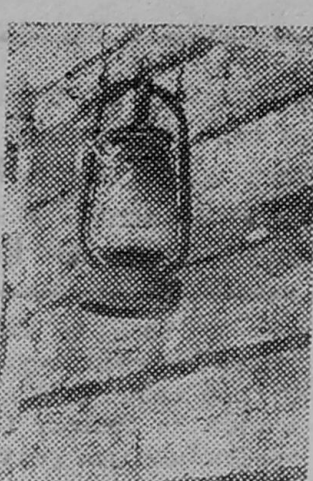




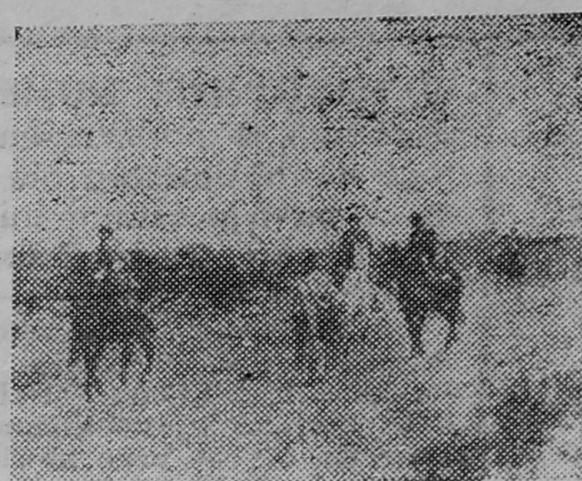
3
taka
na działce
m. odzieżowej



7
daleko
od szosy



8-9
świadek
oskarżenia



10
powstanie
nadziei

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

11

(335)

KONTAKTY

1987-03-15

cena

20 zł



Feeria barw, wdzięku, beztroski i świeżych talentów—to atuty koncertu galowego XIII eliminacji strefowych „Barw Przyjaźni '87”. O jego innych cechach — za tydzień.

drobne ale własne

JAN ONISZCZUK

Moda stanowi nieodłączny element naszego życia. Właściwie żadna dziedzina społecznej aktywności nie może się bez niej obyć. Ostatnio prawdziwy festiwal przeżywa gospodarka: co parę miesięcy wstrząsają krajem liczne kampanie organizacyjno-propagandowe, opatrzone komentarzem, że tym razem to już naprawdę nasza ostatnia szansa. Mniej więcej od roku modne jest małe, czyli tzw. drobna wytwórczość. W jej skład wchodzi na pewno rzemiosło i firmy zagraniczne, natomiast ustalenie, co z gospodarki uspołecznionej należy do drobnej wytwórczości, jest dyskusyjne. Można wymienić jeszcze państwowy przemysł terenowy oraz spółdzielczość pracy i inwalidów, bowiem umowny podział wyklucza, na przykład, zakłady geosów, „Społem” czy spółdzielni ogrodniczo-pszczelarskich.

Ustawa z 30 I 1984 r. daje władzom wojewódzkim duże możliwości oddziaływania na przedsiębiorstwa tej grupy, a co najważniejsze — pozostawia im większość wpływów z obciążających te firmy podatków, nie uszczuplając przy tym dotacji centralnych. Rozwój drobnej wytwórczości powinien przynieść dwójakie korzyści: poprawę zaopatrzenia lokalnego rynku i zwiększenie dochodów województwa. Twórców ustawy chodzi zapewne o to, aby regionalne władze odzwyczaiły się od dysponowania tylko budżetem terenowym, który jest częścią budżetu centralnego, lecz spróbowaly również mieć coś własnego, coś co pozwoliłoby im (w perspektywie) na większą samodzielność wobec Warszawy. Drobna wytwórczość ma ożywić województwa mniej uprzemysłowione, wyzwolić aktywność, umożliwić podjęcie pracy zawodowej tym, którzy z różnych względów zmuszeni są do bezczynności. Nie bez znaczenia jest również bliskość lokalnych surowców, głównie rolniczych i budowlanych.

W Łomżyńskim ustawa ta powinna wywołać zrozumiałe zainteresowanie, wszystko bowiem doskonale pasuje: i region nieuprzemysłowiony, i surowce — przede wszystkim rolne — nie wykorzystane. Kłopot jednak w tym, że obok uprawnień sformułowanych na województwa także i obowiązki, głównie finansowe: wojewoda ma ponosić koszty zakładu nowych firm oraz zorganizować fundusz rozwoju drobnej wytwórczości. Czy wojewódzka kasa sprosta takim wydat-

CIĄG DALSZY NA STR. 5

W NASTĘPNYM NUMERZE: statystycznie w usługach jesteście wspaniali • porozumienie na wagę samopoczucia narodu • nikt tego marnotrawstwa nie dojrzał, choć widoczne było gołym okiem • co odkryje ostatni śnieg • „Cud mniemany” w Łomży • Targi bez targów • smak tenisowego zwycięstwa • Eros Ramazzotti.

UROCZYSZCIE obchodziliśmy Święto Kobiet. W Łomży z działaczkami Ligi Kobiet Polskich, współdziałczyniami i członkiniami KGW spotkały się — przy kawie i herbach — władze polityczne i administracyjne województwa. Podobne uroczystości odbyły się również w innych miastach i gminach.

KOMISJA MŁODZIEŻY, Kultury Fizycznej i Turystyki PZPR zapoznała się z informacją o przebiegu tegorocznego zimowego wypoczynku, z którego skorzystało 15 tysięcy dzieci i młodzieży. Komisja przysięga opinię o stanie kultury fizycznej i turystyki w województwie i przedłoży ją 17 marca br. na posiedzeniu Egzekutywy KW PZPR.

EGZEKUTYWY nauczycielskich komitetów środowiskowych PZPR w Łomży i Grajewie dyskutowały nt. roli i znaczenia w środowisku, a także o strukturze Komitetu Miejskiego i KMG PZPR.

STOPIEŃ ODDZIAŁYWANIA organizacji partyjnej na rolę ideowo-wychowawczą szkół i placówek oświatowych, m.in. w Małym Płocku i Wysokiem Mazowieckiem, badała specjalna komisja. Kontrola obejmuje wszystkie szkolne POP.



W ŁOMŻYŃSKIEJ obywatelskiej Wszechnicy Młodej Inteligencji wygłosił wykład nt. problemów ludnościowych świata prof. Henryk Jabłoński, b. przewodniczący Rady Państwa, znany z sympatii do naszego miasta i województwa.

PONAD 350 OSÓB zgromadziła w sali konferencyjnej Urzędu Wojewódzkiego uroczystość z okazji 30-lecia Związku Młodzieży Wlejskiej. Spotkanie wzbogaciły wspomnienia weteranów ruchu młodzieży na wsi, a także liczne odznaczenia.

W KOMISJACH WRN trwa dyskusja nad projektem wojewódzkiego planu społeczno-gospodarczego na lata 1986—1990. Planowane są spotkania radnych ze społeczeństwem miast i gmin oraz z przewodniczącymi komitetów osiedlowych i rad sołeckich.

OD SAMORZĄDÓW pracowników i organizacji społecznych i zawodowych wpływają propozycje kandydatur do Wojewódzkiej Rady Społeczno-Gospodarczej. Prezydium WRN przedłoży je radnym w trzeciej dekadzie marca br.

W ŁOMŻYŃSKIM pracuje ponad 5200 osób z wyższym wykształceniem. Średnio co roku przybywa dalszych 270 osób. Statystyka nadal sytuuje nasze województwo pod tym względem poniżej średniej krajowej, która na 1000 osób wynosi 86, a u nas tylko 75. Brakuje nie tylko lekarzy, nauczycieli, stomatologów. ZZPB mogą w każdej chwili zatrudnić 100 włókienników, przedsiębiorstwa budowlane — 200 budowlanych, w tym aż 100 na budowie szpitala wojewódzkiego. Największe niedostatki kadrowe odczuwają najmniejsze ośrodki gminne, mimo kuszących ofert socjalnych: umorzenia po 6 latach zamieszkania kredytu pieniężnego na zagospodarowanie (150 tys. złotych) oraz budowlanego w wysokości 1,5 miliona złotych z działką budowlaną, również z perspektywą umorzenia splat.

ŁOMŻYŃSKIE skupiło w 1986 roku o 9 proc. zbiorów upraw mniej

niż w 1985 r. Zakontraktowanych buraków cukrowych sprzedali rolnicy 265 tysięcy ton. Wyprodukowano z nich 30 tysięcy ton cukru, z czego województwo zużyje co trzecią tonę.

PRZY WOJEWÓDZKIM POROZUMIENIU Związków Zawodowych konstituuje się Rada Kultury Fizycznej, Turystyki i Wypoczynku. Na szefa Rady związkowcy poszukują człowieka, który „by się znał, chciał działać i coś znaczył w województwie”. Rada zajmie się problematyką sportowo-turystyczną w łomżyńskich zakładach pracy.

KOMISJA HANDLU i Usług WPZZ zwróciła Wydziałowi Handlu i Usług UM w Łomży uwagę, iż często nieuzasadnione zmiany godzin pracy placówek handlowych utrudniają klientom korzystanie z nich.

ORGANIZACJE ZWIĄZKOWE zgłaszają kandydatów na kurs szkoleniowy społecznych inspektorów pracy, przygotowywany przez Centrum Studiów Związkowych w Międzywojewódzkim Ośrodku Szkoleniowym w Olsztynie. Kurs przeprowadzony będzie w dniach 6—10 kwietnia br. Potrzeba takiego szkolenia wynika m.in. ze słabej działalności inspektorów i jeszcze gorszej znajomości przepisów.

PRZY ZARZĄDZIE OKRĘGOWYM ZNP ukonstytuowała się Okręgowa Sekcja Pedagogiczna, której przewodniczy znana emerytowana polonistka, Maria Kujawa, wiceprzewodniczącą Oddziału. Sekcja przeprowadzi w najbliższym czasie analizę programów nauczania i spróbuje zbadać stopień przeciążenia nimi ucznia, na początek: fizykę i chemię. Zajmie się również sytuacją socjalną nauczycieli.

ODDZIAŁ MIEJSKI ZNP w Łomży otrzymał 4 miliony złotych dotacji od Zakładu Usług Socjalnych resortu oświaty i wychowania na remont i wyposażenie Klubu Nauczyciela, usytuowanego przy ulicy 22 Lipca, w którym już rozpoczęła działalność Sekcja Brydżowa i poszukiwani jest kandydat na kierownika. Chęci mogą zgłaszać się telefonicznie: 32-92 w. 20.

FEDERACJA Związków Zawodowych Pracowników Ochrony Zdrowia wraz z władzami służby zdrowia, PCK, i sektora rolnictwa w Łomży ogłosiła bieżący tydzień, tj. od 8 do 15 marca, Tygodniem Zdrowia na Wsi. Ekipy w składzie: lekarz pediatria, internista i ginekolog, udadzą się głównie do tych wsi łomżyńskich, w których o lekarza jest najtrudniej. Profilaktyczne badania dotyczą głównie choroby nadciśnieniowej, nowotworów i cukrzycy u kobiet. Akcję wzbogaci: „biała niedziela” (15.03), kończąca Tydzień Zdrowia na Wsi, oraz liczne prelekcje nt. ochrony zdrowia, filmy profilaktyczne o zdrowiu i higienie, konkursy rysunkowe dla dzieci i młodzieży. Uczniowie łomżyńskich szkół medycznych wygłoszą, każdy w swojej wsi, przynajmniej jedną prelekcję na tematy zdrowotne.

NA ZASŁUŻONĄ EMERYTURĘ przeszedł Czesław Gartych, prezes WK ZSL w latach 1982—1987. „Pragnę serdecznie podziękować — napisał w liście do „Kontaktów” — za dobrą współpracę, życzliwy stosunek i pomoc, jaką okazywaliście mi w sprawowaniu funkcji [...]”

Wspólnie uczestniczyliśmy w wielu sprawach i ich rozwiązywaniu — w szczególności trudnym okresie dla naszego kraju i województwa. Ziemia Łomżyńska będzie mi zawsze bliska, której, w miarę swoich sił i możliwości, służyłem i pragnę nadal służyć [...]” Zyczymy Prezesowi zdrowia i długich lat emerytury.

KONKURSY. 12 czerwca odbędzie się w Pile VII Pilecki Turniej Poetycki. Uczestnikami mogą być tylko ci autorzy, którzy szczepią się 1—3 tomikami poetyckimi. Adres: Nadnoteckie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, ul. Okrzei 7a, 64-920 Pila. Termin — do 25 kwietnia br. Nagrody — duże i liczne, pierwsza — aż 15 tysięcy złotych.

TRWA doroczny konkurs pn. „Złoty wawrzyn dla twórcy — złoty wawrzyn dla biblioteki”. Na najpopularniejszego autora literatury pięknej, wybranego przez czytelników, i — podobnie — bibliotekę, czeka 200 000 złotych nagrody. Zgłoszenia należy przysłać do „Tygodnika Kulturalnego”, 00-511 Warszawa, ul. Nowogrodzka 22.

GWIAZDA JAZZU, Heinz Affolter (gitarzysta szwajcarski, w ubiegłym roku występował na festiwalu „Jazz nad Odrą”) razem z zespołem „Jazz Trio” jutro (13.03 o godz. 19.00) wystąpi w klubie „Stałe Zajęcie” w Łomży.

III OGÓLNOPOLSKIE SPOTKANIA Teatrów Lalkowych w Białymstoku zgromadzą blisko 600 wykonawców. Udział zapowiedziało 29 spośród 30 teatrów polskich (ten trzydziesty to, powołany w końcu lutego, Państwowy Teatr Lalek w Łomży) i jeden zagraniczny (z Karl-Marx-Stadt w NRD, który wystawi dwie jednoaktówki Mrożka). W ciągu dziesięciu dni publiczność Białegostoku, Łomży i wielu miejscowości w obu województwach obejrzy 120 przedstawień. Impreza nie ma charakteru konkursu, lecz jest roboczym spotkaniem lalkarskiego środowiska teatralnego Polski i twórców innych dziedzin sztuki związanych z lalkarstwem (także z kilku krajów europejskich) oraz wielkim świętem teatralnym dla widzów. Inauguracja Spotkań, 27 marca, będzie głównym akcentem krajowych obchodów Międzynarodowego Dnia Teatru.

„ZAMKI W POLSCE” Bohdana Guerouin, wydane przez Wydawnictwo „Arkady” w 1984 roku (autor już nie żyje), zdobyły I miejsce w I Ogólnopolskim Triennale Książki Krajoznawczo-Turystycznej, w którym startowało 19 wydawców z całego kraju, a zgłosili oni 400 pozycji.

ZNANY CIEŻAROWIEC Bogdan Bakula z łomżyńskiej „Narwi” okazał się najpopularniejszym sportowcem województwa łomżyńskiego w 1986 r. w plebiscycie „Gazety Współczesnej”. Dalsze cztery miejsca zdobyli: Marek Darkowski — kajakarstwo (LTW), Andrzej Kłopotowski — taekwon-do („Zorza”), Andrzej Kossakowski i Iwona Dziekońska — lekkoatletyka z „Zorzy”. Gratulujemy.

„POŻĄDANIE zwane „Nawadą” Władysława Tockiego i „Wielki Kotan” Danuty Wroniszewskiej zostały uznane za jedno z najlepszych wśród 57 prac, zgłoszonych do konkursu na najlepszą publikację roku w regionie północno-wschodnim. Uchonorowano także Stanisława Świeradę za „Requiem po mazursku” (również drukowane w „Kontaktach”). Przypominamy, iż nasz redakcyjny kolega, Władysław Tocki, jest laureatem w tych szrankach po raz trzeci.

WSPÓLNE TROSKI

Byliśmy gośćmi, my, łomżyńscy dziennikarze, Sekretariatu Komitetu Wojewódzkiego partii. Niezmierznie trudno oddać atmosferę tego spotkania, kiedy w różnych ustach troska przybiera różny wyraz. Nikomu przecież tak, jak kierownikowi wojewódzkiej instancji, nie zależy na poziomie jedynego łomżyńskiego pisma, na tym, jak dalece trafia ono do szerokiego rzesz czytelników. Tego samego pragnie środowisko dziennikarskie, które w Łomży znajduje sprzyjający klimat, życzliwość, zrozumienie dla swych potrzeb i bogactwo tematów, co w sumie, dodając skrzydeł talentom, owocuje dziesiątkami nagród ogólnokrajowych i regionalnych. Wszyscy dziennikarze, to wynika ze specyfiki naszej profesji, pełnią, podobnie jak partia, rolę służebną wobec społeczeństwa. Każdy dziennikarz, szczególnie w prasie partyjnej, musi być szczególnie wyczulony na to, co płynie od czytelników, a także na oczekiwanie dysponenta politycznego. Jest łącznikiem, działa często na skrzyżowaniu przepływu informacji, oczekiwań, pretensji i nadziei. To tylko z pozorów rola uprzywilejowana.

Te uwarunkowania i powinności dziennikarzy były przedmiotem kilkogodzinnej rozmowy. Sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego otworzył, jak się to w Polsce praktykuje od IX Nadzwyczajnego Zjazdu partii, przekazywali swoje opinie i oceny dziennikarskiej pracy, przede wszystkim w „Kontaktach”. Odkryli nasze słabości; nie ukrywali pretensji o zdarzającą się pogon za sensacją, zbyt łatwe dawanie wiary pogłoskom tam, gdzie konieczne jest zmusne sprawdzanie faktów, a także o brak życzliwości w krytyce. Polemikę (nawiasem mówiąc: wypomniano nam słusznie zbyt małą jej ilość na naszych łamach) wywołały próby sformułowania definicji krytyki konstruktywnej, która nie szkodzi, a pomaga województwu.

Ogromnie usatysfakcjonowało nas potwierdzenie, i to w wypowiedzi I sekretarza KW, a także wojewody, że w Łomżyńskim istnieje i będzie istniał klimat sprzyjający odwadze w myśleniu i działaniu również wówczas, kiedy okaże się ono kontrowersyjne, oraz twórczej krytyce, która może położyć kres niemożności i asekuranctwu.

Ten rodzaj kontaktów władz wojewódzkich z prasą można uznać za modelowy, jeśli wziąć pod uwagę również fakt, że gościnnie u sekretarza poprzedziło spotkanie Wydziału Ideologii i Informacji KW z łomżyńskimi dziennikarzami. „Nasze kontakty z prasą — powiedział tow. Mieczysław Czerniawski — są partnerskie ze względu na wzajemne zaufanie. Łączy nas przecież wspólnota celów: Twórcze wspólnie z nami dobry klimat wokół województwa i dbajmy o coraz lepszy jego obraz w kraju.”

zaprosili nas

BWA i MDK-DST — na wystawie malarstwa, pasteli i plakatu Janusza Trzebiatowskiego: Łomżyńskie Towarzystwo Muzyczne — na prelekcję pt.: „Boliwja — muzyka, obyczaje i obrzędy” (12.03) aula Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia przy ul. Świerczewskiego 36; Rada Zakładowa Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Transportu Mleczarskiego przy Zakładzie Transportu Mleczarskiego w Łomży z siedzibą w Wysokiem Mazowieckiem — na wojewódzki turniej placówek terenowych „Transmleczu” w plucie siatkowej o puchar dyrektora WZTM, organizowany pod hasłem: „O zdrowie i sprawność załogi”; Komitet Organizacyjny II Ogólnopolskich Spotkań Teatrów Lalek w Białymstoku — na konferencję prasową; Zarząd Oddziału Wojewódzkiego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego — na spotkanie kierownictwa redakcji „Tygodnika Polskiego” z czytelnikami (15.03, godz. 10.00) MGDK w Zambrowie).

zdanie tygodnia

— Dzisiaj w naszym związku (tj. Wojewódzkim Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych) niczego się pan nie dowie, bo nasi pojechali do Warszawy szukać wiosny.

Zasłyszane pod drzwiami sekretariatu WZRKiOR

myśl z atestem

„Prawda sama wychodzi na wierzch, więc mądrze jest nie spytać jej na dno”.

Octav Pancu-lasi



W czasach kryzysowych, trudnych i skołatanych — a takie niewątpliwie przeżywamy — we wszelkich rodzajach nocnych i dziennych rozmowach, co rusz pojawia się tematyka młodzieżowa. Kiedy terazniejszość ciężka i przymglona, to i przyszłość trudno ją wyobrazić, a jeśli, to jawi się ona niepewnie i chlerlawie.

Często z młodych ust slychać oskarżenie pod adresem dorosłych: „To wyście nam ten pasztet przygotowali”. Sarkofagi, czyli dawne „wapniaki”, odbijają piłeczkę: „Nie oglądajcie się na nas, teraz wy pokażcie, co potraficie”. Zazwyczaj to koniec międzypokoleniowej ostrej wymiany zdań, puentowanej zgodnym już dwugłosem: „Cóż my na to wszystko poradzimy, tak już widocznie być musi, że w Polsce trudno się dorobić, czy choćby zapewnić sobie przyszłość”.

Jeszcze niedawno czytaliśmy o „chorobie młodzieżowej”, co miało oznaczać, że młodzież niepokojąco odbiega od „normy”. Choć „choroba” trwa nadal, to niepostrzeżenie dla wielu nastąpiło ujednolicenie w wyborze i akceptacji wartości zasadniczych ojców i dzieci. Czyli zanik konfliktu pokoleń w sprawach najważniejszych. Potwierdzają to ostatnio badania socjologiczne, prowadzone w różnych środowiskach młodzieży. Zarówno „szczawie”, jak i „sarkofagi”, za swój ideał życiowy uznają domek, samochód, wyjazd na wycieczki zagraniczne, dobrze płatną i — najlepiej — nie męczącą pracę. Żadnych uniesień, żadnych wysoko namierzonych aspiracji. Po prostu stawka na wygodne urządzenie się za wszelką cenę, na umiarkowany komfort.

Według tej sztancy powiela się ideały w wielu polskich rodzinach. I nikt się nie buntuje. Co najwyżej jakiś ojciec przypomni potomkom swe młodzieńcze ideały, westchnie, machnie ręką...

Nauczyciel z Łomży opowiadał mi, że kiedy niedawno poprosił ucznia przedmaturalnej klasy, aby pomógł jakiejś starszej, samotnej osobie w zakupach żywności, usłyszał: „Panie profesorze, tak za nic, tylko za dziękuję?”. Nauczyciel był zgorzchniony. A ja skądinąd wiem, że on sam również niczego za darmo i po godzinach dla bliskich nie robi. Ale jeszcze tak zwana przyzwoitość nakazuje mu obruszać się, a ponieważ i inni też chcą być co jakiś czas przyzwoici, więc trwa nieustannie narzekanie na młodzież, jaka ona trudna i samolubna. Zawsze to lepiej bić się w cudze piersi niż własne. Kiedy jednak przyjdzie im mówić o własnych dzieciach, dają upust pochwałom; bywa, że bez pokrycia.

Gdyby jednak problemy młodzieży czy „choroba młodzieżowa” — jeśli kto woli takie sformułowanie — były tak łatwe do przyszyfrowania, tysiące mówców w Polsce nie młóciłoby słomy słów. To raczej my, dorośli, mamy kłopot z sobą. Męczymy nas myśl, że nie potrafimy urządzić tego świata tak, by dobro i pracowitość były nagradzane, a zło i lenistwo — karane. Mamy wielkiego moralnego kaca, a przynajmniej powinniśmy go mieć, że wciąż jeszcze jest inaczej. Póki co wiele racji mają młodzi, którzy mówią, że: „socializm jest idealnym systemem do podziału dochodu narodowego, ale jest równocześnie fatalnym systemem do jego wytwarzania”.

Na licznych spotkaniach z młodzieżą, które mieli ostatnio łomżyńscy działacze partyjni, jak też i na wyjątkowo gwarnej i otoczonej gronem młodzieży Egzekutywie KW poświęconej jej tematyce, jak echo powracała kwestia reformy gospodarczej, reformy konsekwentnej, której młodzi są naturalnym sojusznikiem, byle zbyt długo nie docierała do stanowisk pracy. Meandrowanie i błędzenie po biurokratycznych manowcach może to zaufanie podkopać. Póki co, dość typowa dla wielu miejsc pracy i pierwszych w nich doświadczeń młodych jest atmosfera, w której niewychylającym się średniakom żyje się najlepiej. A wszyscy, nawet najbardziej nieudolni, pozbawieni inwencji, mają poczucie bezpieczeństwa, wiedząc, że czy się stoi, czy się leży — średnia się należy.

Przeciętny obserwator, diagnozując ten stan, gotów znowu obwiniać młodych; przekonywać, że powinni wykazać się entuzjazmem. Ale ktoś tu kogo ma wychowywać? Statystyka podaje, że co trzeci z robotników jest młodym, wśród urzędników — co czwarty. Niechże ten młody piśnie, niechże forsuje swoje zdanie — konserwatywna większość go załatwi.

Co więc wybierają młodzi? Latwo się domyślić: przystosowanie i do dobrego, i do złego, do realnej rzeczywistości. I to jest nasze wspólne nieszczeście.

Podczas spotkań członków kierownictwa wojewódzkiej instancji partyjnej młodzi często mówili o braku odczuwalnych postępów we wprowadzaniu reformy gospodarczej. Mówili to z wyraźną pretensją w głosie. Oczywiście do starszych, do władz. A prawda jest taka, że bez ich uczestnictwa i odwagi nie będzie reformy, albo zastąpi ją gra pozorów. Bo nie ukrywajmy, reforma to głównie walka o przyszłość. A kto w niej będzie żył, kto z niej korzystał?

Mam pełen notes wynurzeń młodych: z pamiętników, z licznych spotkań, a także z Egzekutywy. Jedną z działaczek ZSMP wyznała: „Od dłuższego czasu odnośzę wrażenie, że wszyscy jakby chcieli się nami zajmować. I tak się tymi chęciami rozgadują, że już im nie starcza czasu na faktyczne zajęcie się nami. To tak, jakby do młodego rolnika przyszli na żniwa pomocnicy-sąsiedzi i zamiast zakasać rękawy, pootwierali gęby. Taką właśnie tłokę obserwuję w naszej dziale młodzieżowej”.

Ale i dorośli mają w tym wypadku swoje racje i rozterki. Chcą wiedzieć, w czym pomagać. Chcą, żeby młodzież wyartykułowała nie tylko swoje postulaty, lecz także to, jak sama chce rozwiązywać swoje problemy.

**tłoka
na działce
młodzieżowej**

albo kazania do ostrygłych

— Nie może być w życiu społecznym sytuacji — zauważył podczas wspomnianej Egzekutywy I sekretarz KW, Mieczysław Czerniawski — że oto starsi padają na kolana, bo młodzi sobie coś zażyczyli.

Do przedsiębiorczości i potrzeby uporu młodych odwołał się również Jerzy Swiderski, kierownik Wydziału ds. Młodzieży KC PZPR, stwierdzając: „Ustawa o młodzieży tworzy sprzyjający dla niej klimat, ale sama za młodych nie będzie pracować”.

Wspólnie więc i z samej góry, i z wojewódzkiego środka chcemy wywołać aktywność młodych, a odzew jest częstokroć niewspółmierny do wysiłków. Wydawałoby się, że jak do władzy w województwie dojdą młodzi, nastąpi przełamanie bariery międzypokoleniowej, ściślejza więź, lepsze wzajemne zrozumienie. No i coś takiego nastąpiło. Łomżyńskie wyrażenie stawia teraz na młodzież, jej kwalifikacje, zdolności, rozbudzając w sobie coraz większe nadzieje. Co rusz ze strony władz wojewódzkich padają nowe propozycje adresowane do młodych.

Zrezygnował ze stanowiska doświadczonego, wieloletniego dyrektora kombinatu „Wizna” — prośbę bardzo, oglaszamy konkurs na to stanowisko. W Ciechanowcu powstało przedsię-

wierstwo budowlane — komuż powierzyć funkcje dyrektorskie, oczywiście młodym, dobranym z konkursu.

Ale jakoś nie widać chętnych. W Wiźnie ostał się jeden kandydat, w Ciechanowcu z trudem zwerbowano dyrektora. Jak tutaj młodych awansować, kiedy sami nie chcą?

Podobny test przeprowadzono podczas „młodzieżowej” Egzekutywy. Zapytano szefów organizacji młodzieżowych, ilu kandydatów mogą zgłosić na naczelników gmin, sekretarzy KG i inne funkcje. No i nastąpiła konsternacja. Dopiero po chwili sekretarz Zarządu Wojewódzkiego ZMW powiedział, że jego organizacja przygotowuje kandydatów, będą za jakiś czas, za 2 lata. Zaszef ZSMP zapowiedział skierowanie kilku pracowników aparatu młodzieżowego do pracy w terenie. I okazało się, że bardzo chętnie się u nas mówi, i dużo, o braku perspektyw, możliwości awansu młodzieży. A kiedy przyjdzie co do czego — balon pęka.

Jestem daleki od tego, aby zacierać obraz, choć sami działacze młodzieżowi często mają minorowe nastroje, kiedy przyjdzie im szczerze ocenić swych rówieśników. Oni z kolei, jako ludzie zorganizowani, mają młodym za złe pewne odpolitycznienie, niechęć do zrzeszania się. Sroży ich fakt, że le-



STANISŁAW
ZAGÓRSKI

dwie 24 proc. młodych w wieku od 14 do 34 lat należy do ich związków. Trochę lepiej to wygląda, jeśli chodzi o młodzież szkolną, jej związki z harcerstwem, ale nie znaczy, że całkiem różowo. Osobiście z faktu małej liczebności organizacyjnej nie robiłbym żadnego alarmu, gdyby ci zrzeszeni byli tak dobrzy, tak aktywni, że tworzyliby autentyczną siłę zdolną walczyć o interesy młodzieży i reprezentować je; gdyby mieli w sobie dość ideałowości, aby obdzielić nią tych niezrzeszonych.

Dwa wyznania poczynione podczas „młodzieżowej” Egzekutywy KW poruszyły mnie najbardziej. Pierwsze to Izabeli Skoczek, uczennicy LO w Wysokiem Mazowieckiem, a zarazem dostrzeżonej już w kraju działaczki ZSMP. Otóż stwierdziła ona: „Kiedy uczeń próbuje poprzeć się kodeksem, nauczyciel natychmiast pokazuje mu w nim na przykład taki punkt: «Uczeń ma obowiązek systematycznie i wytrwale pracować nad wzbogaceniem swej wiedzy, wykorzystując jak najlepiej czas i warunki do nauki». I dziękuję! Tym można każdego zagiąć. Tylko nauczyciel ma pełną autonomię w formułowaniu wyroków. Sam stawia stopnie za to, czego nauczył”.

Oto i tajemnica strupieszalych samorządów szkolnych, które ożywają tylko na czas okolicznościowych sprawozdań. Nasza szkoła ma wiele

zalet, ale i wiele grzechów. Jej grzech najcięższy, wołający o pomoc do... (tu wstawcie, co chcecie), to ten, że zabija wszelką samodzielność, wszelką spontaniczną działalność. Jest socjalistyczna z nazwy, a w rzeczywistości sprzyja cwaniactwu i obrotności, lizusostwu i uległości, a nie obywatelskości i uspołecznieniu. W tym, jak mówią badacze naszej dorosłej codzienności, należy upatrywać praprzyczyny dojrzałej bierności i nieporadności w rozwiązywaniu wspólnych spraw.

Wreszcie drugie wyznanie — Marii Teresy Piotrowskiej, młodej nauczycielki i działaczki partyjnej, która uchodzi za reprezentantkę młodzieży. Pisze: „uchodzi”, bo sama ma wątpliwość — i to było to wyznanie — jak dalece reprezentuje młodzież. Czy to, co my, dorośli, uważamy, że jest dobre dla młodych, z punktu ich widzenia jest rzeczywiście dla nich dobre. Czy istotnie wiedzą, kto ich reprezentuje i na jakiej zasadzie: czy z klucza, płci, wieku, przynależności? Czy wiedzą, że ona tu, we władzach partyjnych, jako członek Egzekutywy KW, walczy w swoim i ich imieniu? No i wreszcie puenta tego wyznania, sumująca relację Marii Teresy Piotrowskiej z jej spotkania z młodzieżą: „W pewnej chwili poczułam, że jestem już jak gdyby po drugiej stronie plotka”, co — jak zrozumiałem — miało oznaczać, że straciła kontakt z nową młodocia.



„WIELKI KOTAN”

Czytając artykuł Danuty Wroniszewskiej, dotyczący wystąpienia Marka Kotańskiego w Łomży („Kontakty” nr 51/86) od razu odkryłem prawdziwe intencje autorki: chodziło o sprowokowanie dyskusji.

Oczywiście, ostre pióro red. Wroniszewskiej nie zostawiło suchej nitki na „Nardellim narkomanów”, chociaż z czysto ludzkiego punktu widzenia należało dodać „moim zdaniem”, a nie ostro sugerować czytelnikowi prawdy niby oczywiste, których prosty śmiertelnik nie jest w stanie dostrzec, a dostrzeże dzięki olśniewającym interpretacjom p. redaktor.

Pierwszy cios, nokautujący, to podtytuł „bajery”. Otóż nie widzę tu różnicy w postępowaniu red. D. Wroniszewskiej i M. Kotańskiego. Zarówno jedno, jak i drugie „zasuwa bajery”. I bardzo dobrze. Tak trzymać. Tylko czemu służą „bajery” red. Wroniszewskiej, a czemu Kotańskiego! Tu jest zasadnicza różnica.

Gombrowicz w swoich dziennikach pisał: „W każdym z nas jest Don Kichot, ale na marginesie Sancho Panchy”. Takim rycerzem z La Manchy jest red. Wroniszewska. Walczy, lecz z czym: z mitem Wielkiego Kotana — ależ to typowa walka z wiatrakami. Oczywiście, nikt nie zmusi nikogo do pokochania go — chociaż... chociaż...

Gombrowicz nie wymyślił rzeczywistości. A dowodem tego jest artykuł red. Wroniszewskiej, od razu, z góry, apriorycznie traktujący Kotańskiego na nie. Zgadza się z jednym, że przyjęła redaktor z góry: nie kocham Kotańskiego, bo go nie rozumiem. Nie podoba mi się sposób jego działania, czego on w końcu chce od zdrowego społeczeństwa Łomży, co to za klepanie po plecach gówniarza i przechodzenie z nim na „tyczki” — skoro mógłby być jego ojcem. A ten „szpan”, te ciuchy ekstrawaganckie, słownictwo. Po co on, do cholery, przyjechał do tej Łomży. Chce zabajerować do końca tę młodzież, która nie jest jeszcze uzależniona, tylko od czasu do czasu są jakieś tam drobne historie z małymi wąchaczami. Co, zabrakło mu już „klientów” do jego MONAR-u, to robi nalot na spokojną Łomżę? Jeszcze gotów do końca młodzież zdeprawować. No i te snobistyczne zawołanie podstarzałego lowelasa: „Kto mnie kocha”. Czekaj, ja cię pokocham jak psy dziada w ciasnym kącie. Dokopię. Upupię. Czyste serce, czyste kible. A co ci do łomżyńskich kibli? Stoi jeden, jak stał, przy dworcu PKS i nikt się tam nie utopił. Co za człowiek!

Nie mogę pokochać Wielkiego Kotana, bo go nie rozumiem. Każdemu przebaczyłabym ekstrawagancki strój. Gdyby to był Olbrychski czy Mikulski. Im wolno. To aktorzy. Ale Kotan! Nie. Habit średniowiecznego mnicha, najlepiej z zakonu żebraczego (nb. którym MONAR jest), ascetyczna twarz wychudłego narkomana w ostatnim stadium jego życia. Cera w kolorze pergaminu, nad którym strawił życie, aby znaleźć „kamień filozoficzny — antynarkotyczny”, chude, lekko drżące ręce (znamiona nerwicy wyniesionej z dysput filozoficznych z dziennikarzami) i lekki zaczątek aureoli nad głową. Ale taki delikatny, bezpretensjonalny, gdyż może to być źle odczytane przez nie lubiących szpanu „aniołków”, które drażnią pióra ze skrzydeł, aby zapisać nimi dokonania świętego (przepraszam: świetnego) Kotana.

No i to słownictwo. Toż to zaprzeczenie korczakowskiego hasła, że do dzieci i młodzieży należy mówić jak do dorosłych, tylko jeszcze bardziej mądrze i zrozumiale. A stary Makarenko ze swoim „Poematem pedagogicznym” to już się chyba w grobie przewraca. Co to ma znaczyć „pełen luz”? Jaki „pełen luz”. To nie seans narkotyczny. Siedzieć, słuchać, dać kwiat, poklaskać i dalej robić swoje. Starsi wiedzą, co robią i mówią. Przecież praktykowali trzy „Z” na studiach — zakuć, zdać, zapomnieć — a ten tu luz. A te-

raz rozbijają się polonezami, mercedesami, ładami, też ostatecznie dla człowieka. A gdyby tak był luz na studiach. Może byłoby mniej luzu w mózgach, spowodowanego lukami po owych trzech „Z”.

Przecież obowiązkowo trzeba chwalić wszystko, co po linii. Trzeba było, i to koniecznie na początku, zaznaczyć i podkreślić, że wielką pomocą MONAR-owi służą organizacje młodzieżowe, za to we współpracy z nimi, ściślej zresztą itd... A tu nic! Nie, panie Kotański! Indywidualizm. A... fe! Brzydko.

Oczywiście, że są różne poglądy na temat działalności MONAR-u, metod tam stosowanych, osiągniętych wyników. Jedno jest pewne. Podczas kiedy inni radzili, uchwalali ustawy, On działał. Metodą prób i błędów, ale działał. Wyniki tego są i to jest ważne.

„Zdrowe” społeczeństwo, wypalające najwięcej papierosów na statystycznego „lebaka” w Europie, odrzuca od siebie tych pijaków i narkomanów. „Zdrowe” społeczeństwo, znerwicowane, skłócone w kolejkach, wybuchające z byle powodu gniewem, agresywne wobec jednostek słabszych i mniej zaradnych — to jest właśnie to. No i co z tego, że ktoś dostał „po znajomości” wcześniej mieszkanie, a przez protekcję

talon na samochód — ale się przecież nie narkotyzuje.

Zdrowe społeczeństwo to my, więc szarzy, nijacy, znerwicowani kolejkowicze, o których powiedział Gałczyński w swoich „Nieudanych rekolekcjach paryskich”:

„Smierdząca, pełna niepokoju z zegarkiem w ręku kupa gnoju”

Dlatego w imię zlikwidowania wymaginowanego lęku usuwamy na siłę ze swojego „zdrowego” otoczenia tych innych.

A Kotan? Działa. Jest w Jarociźnie, jest w Warszawie i Łomży. Czyste serce, czyste kible, dom spokojnej śmierci, spotkania w szkołach.

Dom spokojnej śmierci — a fe, mopanku! — nie w ustroju socjalistycznym. Na coś takiego może zdobyć się chory kapitalizm, chociażby taka Holandia, gdzie uzależniony może bezpłatnie dostać konieczną „dawkę”, wstrzykniętą sterylną igłą w wyznaczonych do tego oddziałach szpitali. Ale u nas! Nigdy!

Tu trzeba być cały czas na „kopie” i bez narkotyków. Tu trzeba mieć zdrowie, aby być na luzie, aby nie dać się zagryźć sforze porządnym obywateli ściśle przestrzegających stereotypów i konwenansów.

Dlatego uważam, że dobrze jest, iż red. Wroniszewska problem ten postawiła właśnie w ten sposób, bo na postać Kotańskiego patrzymy rzeczywiście często bezkrytycznie. Na pewno ma on swoje wady i przywary, na pewno zdaje sobie sprawę, że jest „premier inter pares” między leczącymi narkomanię. Trochę „inności” należy mu się za to, co zrobił i robi. Artykuł red. Wroniszewskiej nie jest w stanie zaszkodzić M. Kotańskiemu, wręcz przeciwnie, powtarzam raz jeszcze, iż odczuwam go jako świadomą prowokację do wypowiedzi czytelników na ten temat, zainteresowania się działalnością MONAR-u, śledzenia poczynania M. Kotańskiego. A ów szpan, swojskie pojęty, to sprawy drugorzędne. W końcu coś mu się też należy od życia, a właściwie pojęte i zastosowane twierdzenie, że „język nadawcy musi być dostosowany do języka odbiorcy”, robi więcej dobrego niż złego.

JERZY POSTLEP
Sokół

BUDOWNICTWO
NA WSI

Może jestem nieco naiwny, bo przecież zjadliwa krytyka — nawet niezgodna z rzeczywistością — jest bardziej atrakcyjna niż rzetelna (zaś trochę nudna) informacja.

Tygodnik czytam i staram się zrozumieć o co P.T. Autorom chodzi w poszczególnych materiałach. Nie zawsze mi się to jednak udaje — przecież nie muszę wszystkiego rozumieć. Gorzej, gdy materiał dotyczy sprawy, którą znam z autopsji.

W nr 4 „Kontaktów”, w „Śpięciach”, czytam o słowach, które padały na konferencji w Ciechanowcu o problemach współczesnego budownictwa na wsi. Byłem organizatorem tej konferencji. W notatce wymienia się obecnych (instytucje) i złośliwie stwierdza: „Cóż, najłatwiej przekonywać przekonanych”.

Domyślam się, iż jest to konsekwencja zarzutu, że na konferencję nie zaprosiliśmy rolników. Gdyby dziennikarz czy jakikolwiek inny uczestnik konferencji śledził dokładnie jej przebieg, to wiedziałby, że padło tam jednoznaczne stwierdzenie, iż celowo na to spotkanie rolników nie zaproszono. Jakby na sprawę nie patrzeć, to za wszelkie zło we współczesnym budownictwie na wsi, a jest tego zła sporo, nie można obwiniać rolników; to nie oni wydają decyzje o tym, co i gdzie ma być na wsi wybudowane.

Spotkanie naukowców z wiejskimi inwestorami zaplanowano w Ciechanowcu w roku 1987. Natomiast na omawianej konferencji przedstawiciele nauki i instytucji nadzorujących budownictwo starali się przekonywać gminnych decydentów w sprawach budownictwa, że sytuacja jest wręcz alarmująca i że oni ponoszą tu stonunkowo największą odpowiedzialność za istniejący stan rzeczy.

Uparte milczenie w dyskusji ze strony tej — dość licznej zresztą — grupy uczestników było aż nadto wymowne. Jeżeli, zdaniem autora notatki „Śpięć”, była to grupa „przekonanych”, to stawiam pytanie: o czym przekonanych?

Sądzę, że główni adresaci konferencji — gminni decydenci w sprawach współczesnego budownictwa na wsi — zostali tu przekonani, przynajmniej bardziej wszechstronnie, że to, co się dzieje za ich przyzwoleniem, nie jest powodem do dumy i nie jest to najlepsze wyjście w XXI wiek.

Czy wyjechali z postanowieniem poprawy sytuacji, tego jeszcze nie wiem, może dowiem się od rolników na spotkaniu w bieżącym roku. Już dziś zapraszam na to spotkanie redaktora „Śpięć”.

KAZIMIERZ USZYŃSKI
dyrektor Muzeum Rolnictwa
w Ciechanowcu

Fot. GABORA LORINCZEGO (jak i wszystkie nie podpisane zdjęcia w numerze).



kom? Nasze zapóźnienie ma jeszcze jedno oblicze: mały przemysł rozwija się zawsze tam, gdzie i wielki — taka już jest prawidłowość historyczna.

Łomżyńska drobna wytwórczość nie prezentuje się imponująco i — jak to zwykle bywa — daleko jej do zaspokojenia potrzeb. Składa się niemal wyłącznie z rzemiosła i spółdzielczości. Ale na początek o czymś, czego nie ma.

Do 1975 r. istniało w województwie przedsiębiorstwo terenowe, skupiające kilkanaście branż produkcyjnych i usługowych, ale centralne rozporządzenie zmiotło „terenówkę” w całym kraju. Przedsiębiorstwo zostało rozparcelowane pomiędzy trzech ministrów i włączone do przemysłu kluczowego. Nowa ustawa umożliwia przywrócenie owych zakładów województwu, i nie jest to wcale formalna zmiana sztytu, bo podatek dochodowy, zamiast płynąć do Warszawy, zostałby w Łomży.

W grę wchodzi trzy zakłady: Fabryka Aparatury i Urządzeń Komunalnych w Łomży, Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Wysokiem Mazowieckiem oraz zakład dziewiarski przedsiębiorstwa „Morena”. Niestety, powrót możliwy jest wyłącznie za zgodą zainteresowanych firm. Na wszystkie argumenty przedstawiciele administracji odpowiadają pytaniem: „A co my z tego będziemy mieli?” Wypadnięcie z „klucza” może osłabić ich siłę przebijania w walce o zaopatrzenie, ponieważ w przetargach o materiały wojewoda niewiele może. Finansowo też nie wesprze, bo budżet wojewódzki ma wiele pilniejszych wydatków.

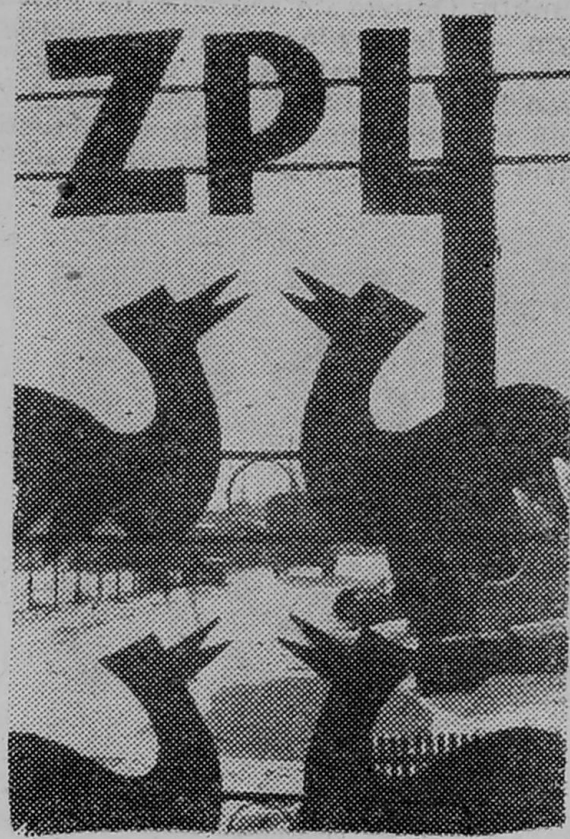
Oczywiście, wojewoda może założyć nową firmę, ale jest to rozwiązanie wybitnie teoretyczne. Zorganizowanie przedsiębiorstwa od podstaw wymaga kapitału, i to nie byle jakiego, o czym świadczy pierwsza próba podjęta przez Urząd Wojewódzki: zagospodarowanie jednego naszego surowca mineralnego — złóż piasku kwarcowego. Zlecona Instytutowi Budownictwa w Warszawie ekspertyza stwierdza, iż założenie zakładu eksploatującego złoża kosztowałoby, w 1983 r., pół miliarda złotych. Dziś, w 1987 r., suma ta wzrosłaby co najmniej do dwóch miliardów. Jaka Wojewódzka Rada Narodowa stojąca przed wyborem: wybudować kilka szkół wiejskich lub ośrodków zdrowia czy zainwestować w przemysł terenowy — wybierze to drugie rozwiązanie? Warto również pamiętać, że w ostatnich latach władze łomżyńskie grubo ponad miliard wydały na Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego w Ciechanowcu i Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych.

Czystą abstrakcją pozostaje także fundusz rozwoju drobnej wytwórczości, który — owszem — formalnie istnieje, tylko że na koncie nie ma ani złotówki.

Jeśli nie można stworzyć nowego, trzeba wykorzystać to, co jest pod ręką. Na tzw. u. społeczny drobny przemysł składa się u nas trzynaście spółdzielni: pięć Wytwórczo-Usługowych Spółdzielni Pracy (w Łomży, Zambrowie, Wysokiem Mazowieckiem, Kolnie i Grajewie), dwie spółdzielnie inwalidzkie (w Łomży i Szczuczynie), dwie wytwórnie zabawek („Miś” w Łomży i Zakłady Produkcji Zabawek w Ciechanowcu), Spółdzielnia Pracy „Przemysł Ludowy i Artystyczny” w Zambrowie, Spółdzielnia Pracy „Przyszłość” w Wysokiem Maz. oraz Budowlana Spółdzielnia Pracy w Grajewie. Ta grupa zatrudnia 2300 pracowników, tzn. 18,2 proc. ogólnego zatrudnienia w gospodarce społecznej; sprzedaje natomiast 7,5 proc. wyrobów wojewódzkiego przemysłu. Wyróżnia się wyższą dynamiką wzrostu produkcji niż producenci państwowi.

Charakterystyczne, iż tylko jeden zakład trudni się przetwórstwem płodów rolnych (ŁZS), co powinno być naszą specjalnością. Inni produkują meble (WUSP Grajewo, SPPLIA w Zambrowie), zabawki, odzież (WUSP Zambrow), środki czystości (SI w Szczuczynie), materiały budowlane. Typowym, a zarazem największym reprezentantem naszego drobnego przemysłu, jest Wytwórczo-Usługowa Spółdzielnia Pracy w Wysokiem Maz., która prowadzi kilkanaście branż, od produkcji cegieł po elektroniczne regulatory napięcia.

Do drobnego przemysłu zalicza się, poza drobną wytwórczością, wiele zakładów innych spółdzielni, np. „Sch”, „Społem”, ogrodniczo-pszczelarskich, eskaerów. Są to piekarnie, masarnie, młyny, wytwórnie



zaopatrzenia. Problem mało oryginalny, ale przemysłowi potentaci mogą liczyć na ministerstwa i zrzeszenia, a spółdzielcy zawsze będą na końcu — za nimi już tylko rzemiosło. Najbardziej jednak doskwiera spółdzielniom swoiste pojmowanie ekonomiczne równouprawnienie, które każe objać drobną wytwórczość takimi samymi zasadami finansowymi, jak FSO czy „Cegiel-skiego”. Mali nie korzystają z żadnych przywilejów podatkowych, nawet przez wzgląd na swoją szczególną rolę.

Pewnym rozwiązaniem byłoby ściąganie na ziemię łomżyńską kapitału zagranicznego; niestety, kapitał się do nas nie garną — jak dotąd działają tylko dwie firmy polonijne, zatrudniające 62 osoby: „Mondex” w Kolnie (wytworzący stolarkę budowlaną, meble, boazerię i odzież futrzaną) oraz „Hanytan L” w Łomży (świadczący usługi kamieniarskie).

Prawdziwą potęgę stanowi rzemiosło, zatrudniające ponad 5000 osób w przeszło 3500 zakładach. Prawie 90 proc. z nich to placówki usługowe. Branżę spożywczą repre-

dlą na którymś z kolejnych „zielonych światłach” i dziś za nie nie dają się namówić na ryzyko. Oprócz wytwórni cegieł działają zakłady produkcji tynków szlachetnych, pustaków, dachówek ceramicznych, grzejników c.o., kabli elektrycznych.

Od 1985 r. daje się zauważyć wyraźny regres w rozwoju rzemiosła: wówczas to ubył 39 zakładów, a rok później — dalszych sześć. Wiąże się to przede wszystkim z niedostatkami w zaopatrzeniu materiałowym. Niebagatelny wpływ ma również wzrost obciążeń finansowych, m.in. (od 1985 r.) na fundusz gminny. Nieustannie maleje zainteresowanie pracą w rzemiosle — szczególnie na wsi, gdzie prawie jedna trzecia właścicieli zakładów dzieli swój czas między gospodarstwo rolne a warsztat rzemieślniczy; na nie się nie zdają ulgi podatkowe i przydziały działek budowlanych.

W ub.r. rzemiosło dostarczyło 3,6 proc. dochodów własnych budżetu wojewódzkiego. Niby niewiele, lecz warto pamiętać, że prywatna przedsiębiorczość sama nie nie kosztuje, a płaci.

Na ostatniej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej radni uchwalili program rozwoju drobnej wytwórczości i usług do 1990 r. Nie przewiduje on tworzenia nowych przedsiębiorstw, lecz rozwój tego, co już mamy.

Uspołeczniona drobna wytwórczość ma powiększyć sprzedaż towarów i

DROBNE



ALE WŁASNE



słodyczny, napojów gazowanych itp. Zatrudniają one ok. 2100 osób.

Dobra kondycja ekonomiczna małych firm utrzymuje się dlatego, że twardo trzymają się one zasady, iż wydajność musi rosnąć szybciej niż wynagrodzenie, które wyraźnie ustępuje pracy w przemyśle państwowym (19889 złotych w 1986 r.). To główny powód niedostatku zatrudnienia.

Drugim utrapieniem małych producentów są trudności w zdobyciu

zestuje 120 zakładów, a wśród nich piętnaście piekarni, trzy masarnie (w Łomży, Grajewie i Zambrowie), wytwórnia słonych paluszków w Sokolach i wód gazowanych w Andrzejewie. Produkcją budowlaną zajmuje się siedemdziesięciu rzemieślników. Kiedyś wiele cegiełni pracowało na pokładach łomżyńskiej gliny, dziś została tylko jedna — w Matwicy koło Nowogrodu; właściciele pozostałych odpa-

usług do 1990 r. o 83,5 proc. w stosunku do 1985. Zatrudnienie powinno zwiększyć się o 672 osoby. Rzemiosło ma wzbogacić się o 338 zakładów i sprzedać przeszło dwukrotnie więcej wyrobów rynkowych, głównie materiałów budowlanych, produktów spożywczych i odzieży. Program przewiduje powstanie trzech nowych przedsiębiorstw zagranicznych. Najlepiej byłoby skierować ich uwagę na wykorzystanie złóż piasków kwarcowych, zagospodarowanie serwatki, produkcję opakowań dla przemysłu rolno-spożywczego, usługi pralnicze.

Część programu dotycząca rzemiosła i firm zagranicznych bardziej jest chęcią niż planem: zachowanie prywatnego kapitału nie da się zaprogramować. Na razie nie zapowiada burzliwego rozwoju. Skromne udogodnienia podatkowo-kredytowe, jakimi dysponuje województwo, nie zrównoważą niedostatku materiałów i braku regulacji centralnych.

Sila drobnej wytwórczości tkwi w bogactwie form własności i łatwości dostosowania się do lokalnych potrzeb. O tym, czy sektor ten będzie się rozwijał, czy też popadnie w kolejny zastój, zdecydować będzie wiele — w większości niezależnych od władz wojewódzkich — czynników. Wymienić można m.in.: politykę podatkową państwa, dostęp do zaopatrzenia w materiały surowce, dostęp do kredytów, likwidację błędów w przepisie.

JAN ONISZCZUK



Przyszedł na świat w czasach burzliwych i trudnych. Jest rówieśnikiem wydarzeń, które zapoczątkowały zmiany stosunków społecznych i ustrojowych na sporej polaci globu ziemskiego. Rocznik 1917. Gubernia Mińska — dziś już coraz rzadziej można spotkać ludzi z takimi danymi w metryce urodzenia. Rzecz jasna, on nie wybierał roku ani miejsca swoich urodzin, ale nie mógł nie przyjąć właściwych dla tamtego okresu pierwiastków walki i niepokoju. One tkwiły przecież w świadomości jego matki i zostały mu przekazane wraz z genami i pokarmem. Tylko tak bowiem można wytłumaczyć jego blisko siedemdziesięcioletnie — pełne wzniołów i upadków — życie, którego bogactwem można by sowiecie obdzielić z pięć przeciętnych życiorysów. Dość tak gwałtownie? Co chciał zobaczyć? Co osiągnąć?

Małutkie mieszkanko na Wzgórzu Nowotki w Gdyni jest już chyba ostatnią przystanią na trasie długiego rejsu Edwarda Appla. On sam zresztą jest o tym świetnie przekonany i mówi bez ogródek, z właściwym sobie realizmem: — Stąd odejdę tylko na wieczną emeryturę i to zapewne już niedługo.

Stare drzewa długo skrzypia — delikatnie wtrąca żona, jakby chcąc zatłuszczać pesymistyczny wydźwięk męzkowskich słów, a może tylko uspić własny niepokój. Z panem Edwardem nie jest bowiem najcieplej. Ciężka astma oskrzelowa sprawia, że najmniejszy nawet wysiłek powoduje ogromną zadyszkę i przeraźliwe uczucie duszenia się. Do tego jeszcze przyplątały się jakieś bóle w nodze, które pojawiają się już po przejściu trzystu metrów i skutecznie uniemożliwiają dłuższą przechadzkę.

Banalem będzie stwierdzenie, że nigdy nie znośił bezczynności: on nawet nie wie, co to jest. Zawsze do czegoś dążył i o coś walczył. Dostawał po łapach za pisanie, po łbie za myślenie i po oczach za patrzeć. Nigdy jednak nie ugiął karku i nie chował się za parawan milczenia.

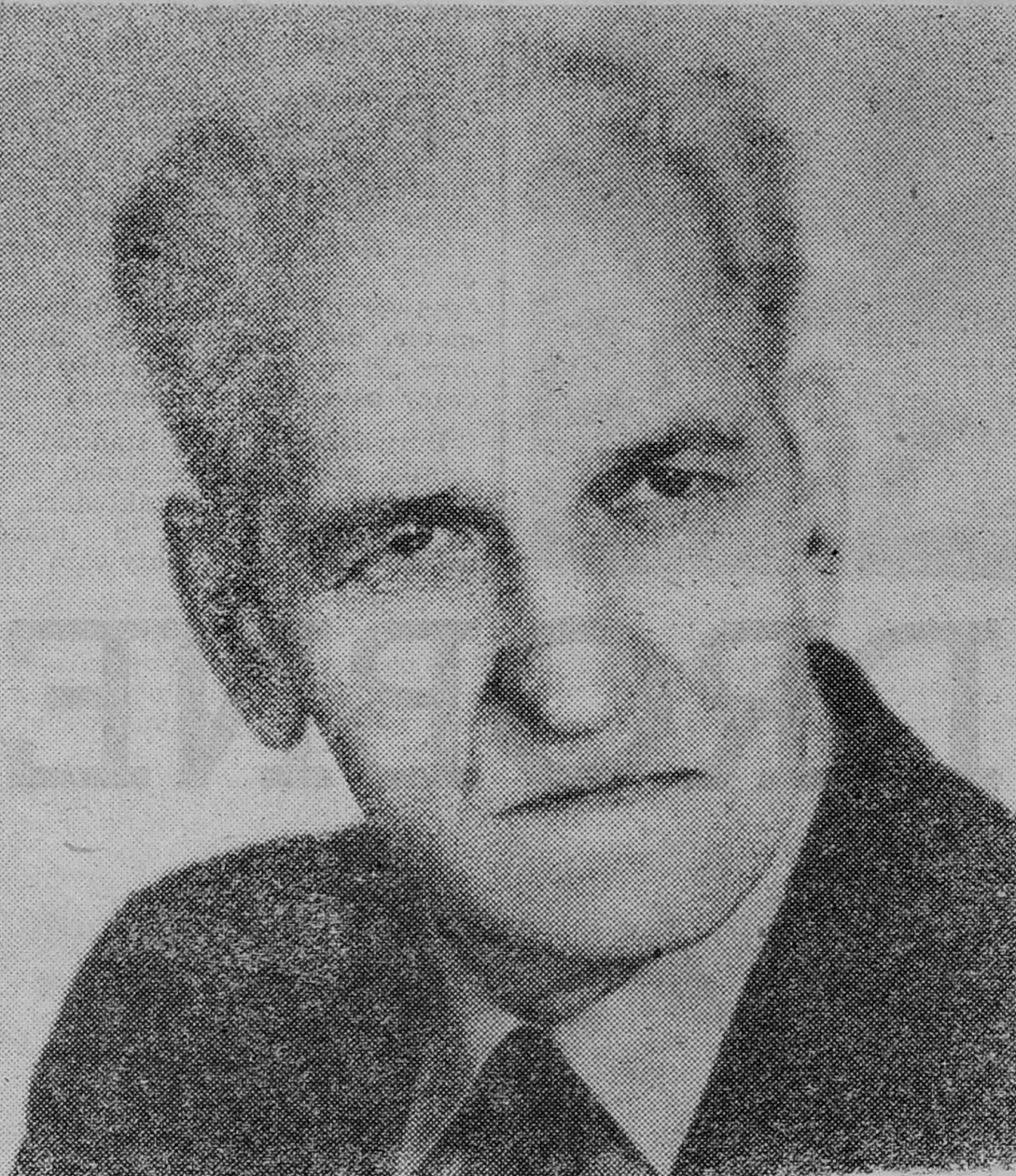
Appel jako jeden z pierwszych ruszył po wojnie zasiadać „Dziki Zachód”. Zaniósł go aż do Żar, gdzie zameldował się jako 187 Polak. Roboty dla pionierów było tu w bród. Tworzyły się pierwsze organy władzy, powstawały organizacje społeczno-polityczne. Sielanki jednak nie było. Zza węgla bez przerwy czaila się śmierć; najpierw od niedobitków hitlerawskich, a później od rodzimych przeciwników władzy i ustroju. Mimo to Edward Appel był wszędzie tam, gdzie uważał swoją obecność za konieczną. Dla chleba pracował jako kelner i piekarz, choć miał przedwojenną maturę, a oprócz tego wyuczony zawód ślusarza. Pasaż sportową wyładowywał w RKS „Promień”, gdzie był instruktorem bokserskim, a zarazem członkiem zarządu klubu. Wstąpił do Towarzystwa Przyjaciół Żołnierza (obecnie LOK), TPPR-u, ZWM-u (późniejsze ZMP). Zaangażował się w przygotowania do referendum. Chodził po domach i mozolnie tłumaczył, dlaczego trzeba głosować: „Tak”. We wrześniu 1946 r. wstąpił do PPR-u. Decyzję tę podjął po długim i głębokim namyśle.

Po latach tak to określa: — Wiedziałem, że przynależność do PPR-u będzie wymagała ode mnie zwiększenia aktywności. Wiedziałem też, że sam fakt posiadania legitymacji partyjnej związany jest z narażaniem życia, ale wiedziałem również, że jest to jedyna słusna droga do odbudowy kraju.

Jeszcze w tym samym roku nawiązał po raz pierwszy kontakt z gazetą. Nie wiedział wtedy, że wydrukowanie korespondencji w „Trybunie Dolnośląskiej” (dzisiejsza „Gazeta Robotnicza”) tak poważnie zażyży na jego dalszym życiu. Nie mógł przypuszczać, że praca korespondenta stanie się przyczyną licznych kłesk, a jednocześnie źródłem satysfakcji. Uważał i uważa, że prawdę trzeba rąbać prosto w oczy. No i rąbał, aż drzazgi leciały... tylko że czasem z niego.

Już po zjednoczeniu PPS-u i PPR-u pewnemu sekretarzowi nie spodobał się jakiś artykuł Appla. Dla nadania sprawie odpowiedniej rangi wysunął on na egzekutywie zarzut, iż Appel ukrył w swojej ankiecie personalnej fakt, że miał wujka, oficera sztabowego, w armii sanacyjnej. Nie pomogło tłumaczenie, że wujek zginął w kampanii wrześniowej i tym samym „okupił” swoją winę. Włóczyński sekretarz przykleił się też do przed-

wojennej matury. Appla, twierdząc, że gdyby naprawdę był robotnikiem, to takowej by nie otrzymał. Zeżłony do ostateczności Appel zapytał sekretarza, gdzie i kiedy on sam robił maturę. Odpowiedź brzmiała, że w czasie wojny... w Szwajcarii, na co Appel wyraził się dosadnie, co myśli o tych, którzy przeżyli wojnę w ciepłych betach, a teraz wielce się szarogęszą. W efekcie otrzymał nagane partyjną.



ROGATA DUSZA W ZAŚMĘCONYM RAJU

IREN USZ GĘBSKI

W tamtym okresie modny był tzw. awans społeczny, toteż Appel szybko wspinał się po kolejnych szczeblach drabiny administracyjnej, aż w marcu 1954 r. został dyrektorem przedsiębiorstwa budowlanego, mimo że na budownictwie nie znał się ani w ząb. Próżno jednak bronił się przed przyjęciem tego stanowiska. „Mamy do was zaufanie i powinniście cieszyć się, towarzyszu, że powierzamy wam tak odpowiedzialne zadanie” — usłyszał w odpowiedzi. Na dobrą sprawę nie powinien był mieć większych obiekcji: posiadał przecież maturę, gdy tymczasem poprzedni dyrektor był z zawodu... fryzjerem.

Dyrektorował w tym i w innym jeszcze przedsiębiorstwie. Przez cały ten czas nie zaniedbywał jednak pracy społecznej i nie przestawał udzielać się jako korespondent. W nagrodę za aktywność w nadsyłaniu korespondencji do pisma „Rada Narodowa” otrzymał album z własnoręczną dedykacją Bolesława Bieruta. Dla równowagi niejako został prawie w tym samym czasie pozbawiony legitymacji partyjnej, również z powodu korespondencji. Napisał mianowicie do „Trybuny Wolności” artykuł „Białe plamy”, w którym stwierdził, że w wielu wioskach województwa wrocławskiego nie istnieją jeszcze organizacje partyjne. Komitet Wojewódzki PZPR uznał to za zdradzenie tajemnic partyjnych, niedyskretnego członka wykluczono z szeregów partyjnych, a wkrótce po tym usunięto z dyrektorskiego stołka. Po dłuższym poszukiwaniu pracy przyjął go wreszcie do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w charakterze referenta ds. skarg i zażaleń.

Wyrzucenie z partii przeżywał bar-

dzo mocno. Bez przerwy odwoływał się i walczył o przywrócenie praw członkowskich. Początkowo zabiegi te nie przynosiły żadnych efektów. Dopiero po interwencji redakcji „Po Prostu” sprawa ruszyła z martwego punktu. Odbyło się zebranie, na którym — nie bez oporów — podjęto uchwałę o wystąpieniu do Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej z wnioskiem o powtórne przyjęcie do partii. Wniosek został roz-

patrzony pozytywnie. Niedługo jednak cieszył się legitymacją partyjną. Parę konfliktów w związku z niektórymi artykułami i etykieta korespondenta-rozrabiacza była już gotowa. Toteż i rozmowa z I sekretarzem KP PZPR była krótka i konkretna. Legitymację trzeba było zostawić na biurku i wyjść z poczuciem beznadziejności. Tym razem na jej odzyskanie musiał czekać aż dwadzieścia pięć lat.

Prośbę o przywrócenie do partii złożył w 1982 r., właśnie wtedy, gdy „towarzysze” całymi grupami zwracali legitymacje. On wiedział, że nadszedł czas próby. Wniosek Appla rozpatrywała CKKP na sesji wyjazdowej w Gdańsku. Wywlekane nawet drobnych i najbardziej intymnych szczegółów służyło pełnemu udokumentowaniu sprawy. Potem było niecierpliwe wyczekiwanie na korytarzu i niepokój o ostateczny werdykt. Wreszcie przewodniczący CKKP wypowiedział tak długo oczekiwane słowa: „Podjęliśmy bezprecedensową decyzję. Przywracamy wam prawa członka partii od 1946 r.”

— Nie wierzyłem własnym uszom. Nie mogłem nawet wydobyć z zaciśniętego gardła zwykłych słów podziękowania. Nie wycierałem też łez, które wypływały spod rzęs i toczyły się po policzkach. To były łzy radości, a takich się nigdy nie wstydzilem.

Łatwo po upływie iluś tam lat manewrować wspomnieniami. Można je dowolnie selekcjonować, w zależności od potrzeby i nastroju. Niektóre z biegiem czasu stają się mgliste, inne przeciwnie — nabierają ostrości. Te ostatnie są z reguły przykre, tkwią więc w pamięci niczym zady. W sercu Appla nagromadziło się trochę tych bolesnych drzazg.

Kiedy po dwunastu latach ofiarnej pracy opuszczał Żary, nikt nie zdobył się na to, aby go pożegnać czy choćby podziękować. Jedynie przewodniczący Rady Narodowej w ostatniej chwili coś sobie przypomniał: „Słuchaj, przysłał tu kiedyś dla ciebie z Zarządu TPPR-u Medal X-lecia PRL. Miałem ci go uroczystie wręczyć na sesji, ale jakoś nie wyszło, a potem włożyłem do biurka i zapomniałem”.

Appel kocha młodzież. Nic dziwnego, że po dwudziestu latach pracy w Stoczni im. Lenina otrzymał tytuł „Nauczyciela i Wychowawcy Młodzieży”. Taki dowód uznania i szacunku mobilizuje do dalszej aktywności, toteż starał się nie zawieść tych, którzy mu go przyznali.

Nie uwzględnił jednej cechy młodzieży: jej skłonności do nagłych zmian nastroju i poglądów. Przekonał się o tym dość boleśnie, kiedy chciał pomóc w redagowaniu stocznianego pisma pt.: „Rozwaga i Solidarność”, które było organem zakładowej „Solidarności”. Jako długoletni korespondent bez trudu dostrzegł wiele braków warsztatowych w redagowaniu pisma. W wielu przypadkach nie podobała mu się też wymowa poszczególnych artykułów, które nie miały nic wspólnego z tytułowym hasłem rozwagi i solidarności. Pełen najlepszych chęci udał się do pomieszczenia redakcyjnego i przedstawił swoją ofertę współpracy. Wtedy jeden z młodych redaktorów, nie ruszając się nawet ze stołu, na którym siedział, powiedział: „Żyłeś za długo w tym systemie, aby nie być zatrutym. Trzymaj się więc z daleka od tego, co się teraz dzieje”. Cóż za ironia losu? Człowiek, który ciągle krytykował wszelkie przejawy zła, narażał swoją opinię i karierę dla dania świadectwa prawdzie — został oskarżony o zatrucie systemem.

Załamal się dwa razy. Pierwszy raz — w końcowej fazie kampanii wrześniowej, którą odbywał jako starszy strzelec z cenzusem. Chciał wtedy skończyć z sobą, ale w ostatniej chwili koleżdy udaremnił ten zamiar. Drugi raz targnął się na życie, gdy odeszła od niego pierwsza żona, z którą przeżył kilkanaście lat. Dziś mówi o tym z zażenowaniem, ale nie uważa za stosowne zatajenie czegośkolwiek ze swego życia.

Po przejściu na emeryturę Appel nie delektował się zasłużonym wypoczynkiem. Wręcz przeciwnie: podwoił swoją aktywność. W krótkim czasie skupił wokół siebie grupę zapaleńców pasjonujących się twórczością amatorską, a zwłaszcza kulturą robotniczą. Po pokonaniu licznych przeszkód natury formalnej doprowadził do zarejestrowania Gdańskiego Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury „Ster”. Na pierwszym walnym zebraniu został przewodniczącym zarządu Stowarzyszenia i od tej pory była to jego druga — obok partii — pasja. Zabiegał o dotacje w wydziale kultury, pukał do różnych redakcji, przekonywał i namawiał kogo się da do zainteresowania się rozwojem robotniczej twórczości. Niemal równocześnie z rejestracją Stowarzyszenia doprowadził do powstania organizacji partyjnej emerytów i rencistów Stoczni Gdańskiej. Jeśli nie jest to pierwsza taka organizacja w kraju, to w każdym razie na pewno najliczniejsza, gdyż skupia ponad 700 członków. Appel pełni w niej funkcję sekretarza do spraw ideologicznych. Działalność w ZBoWiDzie, TKKF-ie i jeszcze gdzieś tam. Nie to, że siwizna pokryła mu przedczoną czuprynę, a plecy wygięły się w łuk. Jest czuły na każdy przejaw życia społecznego, o czym przekonuje m.in. w pamiętniku „Między sierpniem 1980 a grudniem 1981”, który wysłał na konkurs organizowany przez „Politykę”. Otrzymał drugą nagrodę.

Mówią o nim, że jest apodyktyczny. W rzeczywistości wygląda to nieco inaczej. Fakt, że ogromnie się denerwuje, gdy ktoś mu przerywa; w takich przypadkach potrafi nawet rzucić przykrym słowem. Chce bowiem, aby zawsze do końca wysłuchano jego racji. Potrafi też jednak zweryfikować swój punkt widzenia na daną sprawę, ale tylko wtedy, gdy przekona się go rzeczową argumentacją. Nie znośi luzusów i krętań, choć nie zawsze w porę udaje mu się ich zdemaskować. Mimo wielu już zawodów, ciągle podchodzi do ludzi z ufnością małego dziecka. Nie może pojąć, że przykładanie do wszystkich jednakowej miarki jest błędem. Woli sam mieć przykrości, niż skrzywdzić kogoś zbyt pochopną oceną.

„Los pokarał go już przy urodzeniu. Odbarzył bystrym okiem, czujnym słuchem i odwagą dziecka. Dlatego przez całe prawie życie, gdzie tylko był, słuchał, patrzył, jak zaśmiewają obiecanie mu raj i... pisał. Do lokalnych i centralnych gazet, do władz wszystkich instancji”. Tak przed dwoma laty pisał o nim reporter „Wybrzeża”. On sam natomiast tak się określa: „Treścią mojego życia, jego solą, zawsze — obok pracy zawodowej, a teraz społeczno-politycznej — było i jest pisanie. Nieustannie notuję przejawy naszego życia”.

Pewnie dlatego dorobił się aż po koju z kuchnią i paru tanich mebli. Fot. prywatna bohatera

Właściwie nie tak daleko, bo od początku wsi licząc, niecałe dwa kilometry, a od końca — trzy z kawałkiem. Nie o dosłowność chodzi, lecz o metaforę. Sens zaś metafory jest taki, że mieszkańcy wsi Brzeziny w gminie Trzciannem czują się odcięci od świata.

zapadły kąt

— Sam się czasem zastanawiam, co ich tak trzyma na tych piaskach i bagnach — mówi o rolnikach ze wsi Laskowiec, Brzeziny i Gielczyn naczelnik gminy Trzciannem, Edmund Brzeski.

Refleksja ta jest w pełni uzasadniona, bowiem warunki do rozwijania rolnictwa w tym kącie gminy Trzciannem są wprost fatalne. W strukturze gospodarstw, których średnia powierzchnia waha się od 10 do 15 hektarów, przeważają lasy i użytki zielone (załawowe łaki nad Narwią), zaś grunty orne (o niskim wskaźniku bonitacji) stanowią zdecydowaną mniejszość.

Klepanie biedy było tu od wielu pokoleń normalnym sposobem życia. Nic dziwnego, że każdy, kto tylko mógł, wyrwał się w świat. Ucieczka stała się nieco łatwiejsza po wybudowaniu asfaltowej szosy przez bagna (Łomża—Białystok) oraz (niedawno) żwirówki Laskowiec—Gielczyn. Część urodzonych po wojnie roczników jednak została i ta wyjątkowo dotkliwie odczuwają dziś owo „odcięcie” od świata. Komunikacja po asfaltowej szosie odbywa się bowiem rzadko (trzy autobusy w ciągu doby do oddalonego o 23 kilometry Trzciannego i tyleż do Łomży), zaś po żwirówce nie odbywa się wcale (jeszcze pod koniec lutego oburzeni rolnicy z Brzeziny opowiadali mi, że — na skutek niedbalstwa służb drogowych — dzieci z Gielczyna nie mogły uczęszczać na zajęcia do szkoły w Laskowcu, bowiem droga do Gielczyna była nieprzejezdna).

szansa

Prawdziwą szansą na poprawę bytu była dla mieszkańców tej surowej okolicy, przeprowadzona na początku lat siedemdziesiątych, komasacja gruntów oraz melioracja kompleksu łąk nad Narwią.

— Poculiśmy się wtedy jak w Ameryce — wspomina z rozrzewaniem tamte czasy rolnicy z Brzeziny. — Człowiek zajechał na łąkę, a tu szeroko, sucho, tylko kosić.

Ruszyła hodowla bydła mlecznego i opasów. We wsi wybudowana została zlewnia mleka, powstała filia SKR-u. W punkcie lekarskim w Laskowcu przyjmował pacjentów nie tylko lekarz ogólny, lecz i stomatolog.

W mieszkańców wstąpił duch aktywności. Licząc na dochód z hodowli, planowali modernizację gospodarstw, zakup maszyn. Z zapalem przystąpili do budowy w tymże społecznym nowej szkoły w Laskowcu.

regres

Dziś nie już nie zostało z tamtego nastroju. Zebrani w lutowy wieczór w klubie „Ruchu” w Brzezi-

nach rolnicy z zapalem psioczą na władzę, a zwłaszcza na najbliższą — naczelnika gminy Trzciannem. Już żaden lekarz nie przyjmuje w Laskowcu, filia SKR-u plaćtuje, droga do Gielczyna nieprzejezdna, kursy do Trzciannego i Łomży podwoływane, łąki pozalawane.

Najgorsze jest to, że diabli wzięli meliorację wcześniej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

DALEKO OD SZOSY

— Od początku coś nie grało — opowiadają rolnicy. — Niby wszystko było nowe, a czasem woda płynęła nie w stronę rzeki, lecz w przeciwnym kierunku. Nie zniwelowali terenu, zostawili górki i dolki. Komu trafiła się na łące górka, miał jako tako, ale w dołkach woda stała od początku.

Reszty dokonała fatalna konserwacja rowów i urządzeń melioracyjnych. Choć rolnicy — jak podkreślają — skrupulatnie płacili wyznaczone stawki na spółkę wodną, rowy nie były należycie czyszczone. Zdaniem rolników, konserwatorzy zatrudniani przez spółkę nie dawali sobie rady z robotą; każdy z nich miał ponoć przydzielonych 14 kilometrów.

Po kilku latach przeprosili się z kosami: woda na łąkach pozostawała coraz dłużej. Nie było już warunków do zabiegów agrotechnicznych, jakość siana obniżyła się, wielkość zbiorów zależała od sprawności rolnika w zapasach z przyrodą. Jak dawniej. Jak zawsze.

Widząc, co tracą, właściciele łąk w kompleksie Gielczyn—Laskowiec—Zajki postanowili sami zająć się konserwacją. Skutek był fatalny: zdewastowane urządzenia przestały działać.

bagno

Naczelnik gminy Trzciannem, Edmund Brzeski, podziela podejrzenia rolników; jego zdaniem, prace melioracyjne na obszarze Laskowiec—Gielczyn—Zajki nie zostały wykonane prawidłowo. Być może błąd popełnili już projektanci. Według naczelnika, obiekt powinien być odczyszczonej od strony lasów wałem, który hamowałby nadmierny spływ wód z wyżej położonych terenów leśnych. Nie rozumie, dlaczego dopuszczono do dewastacji przepompowni w Zajkach; podziela także podejrzenia, że podczas budowy rowy, a na pewno ich część, zostały źle wyprofilowane: miejscami woda nie płynęła do rzeki, lecz w kierunku przeciwnym.

Tak spartaczony obiekt, by spełniać swoją funkcję, wymagał wyjątkowej troski konserwatorskiej: rowy powinny być odmulanie i pogłębiane co roku. Tymczasem konserwacja od początku polegała na ich obkrośzeniu, i to nie na całej długości.

W 1983 roku konflikt między spółką wodną a rolnikami sięgnął szczytu. Naczelnik Brzeski zmuszony był z urzędu wyznaczyć wysokość opłat konserwatorskich. Rolnicy zaparli się, przestali płacić. Zaczęli pisać skargi do Łomży oraz Ministerstwa Rolnictwa. Domagali się w nich przywrócenia sprawności urządzeń melioracyjnych na koszt państwa, dopatrując się pierwotnej przyczyny kłopotów w błędach projektowych.

Odpowiedź z Ministerstwa Rolnictwa podpisał były wicewojewoda łomżyński, Wacław Redliński. Stwierdził on, na podstawie opinii

ekspertów, że melioracje w kompleksie Laskowiec—Gielczyn—Zajki zostały zaprojektowane i wykonane prawidłowo, zaś ich dewastacja, którą oszacował na 70 proc., jest wynikiem złej konserwacji, a raczej jej braku. Uznał, że niezwłocznie należy przywrócić urządzeniom sprawność techniczną, a koszty częściowo powinni pokryć członkowie spółki wodnej, a w części — budżet wojewódzki. Zobowiązał dyrektora Wydziału Rolnictwa Urzędu

Wojewódzkiego do okazania wszechstronnej pomocy.

Urzednicy zaczęli przekonywać rolników do partycypacji w kosztach, ale ci z uporem czekają na nowe melioracje. Czas ucieka.

— W ubiegłym roku w Wydziale Rolnictwa wyskrobaliby nawet 3 mi-

tobusów, nie wykorzystana nowa żwirówka, nie posiada telefonu, nie korzysta z opieki lekarskiej z braku w Laskowcu internisty i dentysty (wizyta u dentysty w Trzciannem to cała wyprawa, dzieci muszą nierzadko przez kilka dni odrywać się od nauki, a dorośli — od pracy). Zasypana śniegiem droga do Gielczyna również „poszła” na jego konto. Na nie zdaje się rzeczowa argumentacja, informowanie o szerszych (gminnych i wojewódzkich) warunkowaniach. Rozdrażnieni do ostateczności rolnicy znaleźli już swojego „chłopca do bicia”.

Ostatnio wśród młodszych mieszkańców wsi coraz częściej mówi się o konieczności budowy „objektu kulturalnego”. Klub „Ruchu” nie wystarczy, gdyż nie można urządzać w nim zabaw.

— Niektórzy młodzi we wsi już zapomnieli, jak się tańczy, z której strony do dziewczyny podejść — śmieje się gorzko klubowa.

— Za naszą harówkę należy nam się od państwa ta remiza — stawiają sprawę bez niedomówień. — My damy fundusz wiejski i robociznę.

Informacje naczelnika o zasadach finansowania tzw. czynów społecznych oraz kwestie prawne nie robią na nich wrażenia: — Naczelnik od papierków jest, chłop nie ma



liony — mówi Edmund Brzeski. — Można było zacząć prace. Jednak będą to takie roboty, którym podda jedynie dobre przedsiębiorstwo melioracyjne. Wojewódzki Związek Spółek Wodnych zwrócił się do Regionalnego Przedsiębiorstwa Melioracyjnego w Grajewie. Odmówiło, tłumacząc się brakiem moce przerobowych.

Naciskany przez rolników naczelnik Brzeski zabiega o to, by dalszym losem zdewastowanego obiektu zainteresować znów wysokie szczeble. Tymczasem Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolniczych, zlecił jednak wykonanie ekspertyzy poprawności projektowej urządzeń; będzie gotowa za rok.

frustracje

Sprawa melioracji nie wpływa na serdeczność wzajemnych stosunków naczelnika Brzeskiego z mieszkańcami tej części gminy. W Brzezinach oskarżają go wręcz o nlechę; to podobno z powodu jego niedbalstwa i braku troski wleś ma kłopoty komunikacyjne (za mało au-

do tego głowy. Niech zrobi coś, to pomożemy.

Naczelnik ma swoje doświadczenia: — Najpierw jest dużo szumu, potem wszystko spada na Urząd. Byłem przy tym, jak rozpoczęta w czynie społecznym budowa szkoły w Laskowcu została przekwalifikowana z inicjatywy czynowej na państwową. Nikt z mieszkańców nie pojechał wtedy z nami w tej sprawie do Łomży. Nawet wojewoda się dziwił.

Na skutek ciągłych utareczek naczelnik zubożał. Rolnicy zaś z niepokojem myślą o przyszłości: ile lat jeszcze uda im się utrzymać na swoich bagnach? Z roku na rok są coraz starsi, a dochód z gospodarstw maleje; coraz trudniej o sprzęt rolniczy (wiadomo, że pierwszeństwo mają ci, którzy legitymują się wysoką wartością produkcji). Niektórzy chcą rzucić wszystko już teraz i ruszać w świat, do PGR-ów.

MARIA KACZYŃSKA

penetracje



K I M J E S T E S



FRANCISZEK WASZNIK urodził się 31 III 1898 r. w Majdanach (pow. miński - mazowiecki). W Siennicy chodził do szkoły powszechnej i Seminarium Nauczycielskiego (1916), a w Warszawie skończył Wyższy Kurs Nauczycielski, Państwowy Instytut Nauczycielski (1934) i Centralny Kurs Przedmiotów Pedagogicznych (1959). Od 1916 r. pracował w szkolnictwie — był nauczycielem szkoły powszechnej w Notulinie (pow. Garwolin), w Długolecie, Rogowie i Czarnej Wsi Kościelnej (pow. białostocki). W latach 1938—47 piastował funkcję podinspektora szkolnego w Łomży. W czasie okupacji organizował tajne nauczanie. Od 1947 r. pracował jako nauczyciel w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Łomży. W Notulinie, Długolecie, Rogowie i Czarnej Wsi Kościelnej zorganizował straż ognia i Spółdzielnię Spożywców. Od 1918 roku należał do Związku Nauczycielstwa Polskiego. Od 1956 r., przez trzy kadencje, był posłem do Sejmu w Łomży. Ma swój udział w powstaniu największego zakładu przemysłowego w regionie — ŁZPB „Narew” — oraz Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Łomży. Został odznaczony: Krzyżem Komandorskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi, Orderem Sztandaru Pracy II klasy, Medalem 30- i 40-lecia PRL, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Odznaką ZNP i innymi.

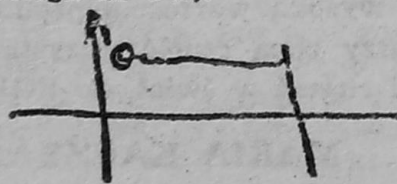
Zona, Sabina, jest emerytowaną nauczycielką. Mają dwie córki: Marię (architekt) i Krystynę (ekonomistka). Na jedno hobby nigdy nie miał czasu; interesuje się wszystkim, co wiąże się z rozwojem kraju. Jego wieloletnie marzenie: żeby Łomża nie była ostatnią stacją linii kolejowej.

Wasznik



MIECZYSLAW MAZUR urodził się 4 X 1940 r. w Zrebkach koło Szczeczeszyna. Pierwszy portret narysował na drzwiach stodoły i już wszyscy widzieli w 5-letnim chłopcu artystę. Po skończeniu szkoły podstawowej w Zrebkach uczęszczał do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu. W warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych specjalizował się w malarstwie ściennym u prof. Aleksandra Kobzeja. Pracę magisterską pisał na temat kiczu w malarstwie. Po studiach był instruktorem do spraw artystycznych, a później kierownikiem Powiatowego Domu Kultury w Sokółce, nauczycielem wychowania plastycznego w Szkole Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącym w Korycinie, dekoratorem w Gminnej Spółdzielni w Dąbrowie Białostockiej. W 1976 roku pracował na stanowisku plastyka wojewódzkiego w Łomży, później był nauczycielem i wystawcą. Teraz jest udziałowcem spółki artystów — wspólnie z Andrzejem Szufarskim i Marianem Masurem — prowadzącej Pracownię Plastyczną Witraży. Współtworzył wystroju iab pamięci narodowej w województwie oraz oprawę plastyczną Szkoły Podstawowej w Małym Płocku (w technice sgrafitto). W latach 1985—86 był przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Plastycznej. Otrzymał Medal 40-lecia i odznakę „Zasłużony Działacz Kultury”. Wystawiał w Łomży, Białymstoku i podczas II Targów Sztuki Krajów Socjalistycznych „Interart” w Poznaniu. Witraże są dla niego sztuką łączącą wszystkie dziedziny sztuki i rzemiosłem. Lubi muzykę organową, interesuje się wystrojem wnętrz. Dobrze gotuje; jego specjalność to zupa czosnkowa i kisiel z bułeczki. W życiu najbardziej rozśmieszył go fakt rozwiązania umowy o pracę w dniu zawarcia (z PSS „Społem”), a najbardziej dziwi to, że często ludzie odnoszą się do niego jak do duchownego.

Zona, Teresa, magister farmacji, pracuje w aptece Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego. Ma troje dzieci: Piotra (II, 22, student historii sztuki na KUL-u), Małgorzatę (I, 21, studentka filologii japońskiej na UW) i Marcina (I, 20, student geologii na UW).



CO ROBIŁEM 15 KWIETNIA? — Zygmunt Rytel głowił się nad odpowiedzią już od kilku tygodni. Od 10 maja nie miał zresztą ważniejszej kwestii do wyjaśnienia. Za to datę 10 maja zapamiętał doskonale: w przeddzień zjawił się u niego milicjant z Zareb Kościelnych i polecił, by się nazajutrz stawił o ósmej rano na posterunku, jednak nie zdradził powodu.

Pojechał ciągnikiem. W kieszeń wsunął kilkadziesiąt tysięcy — może akurat trafi na dostawę nawozów?

W Zarebach się okazało, że sprawę ma do niego nie tutejszy posterunek, lecz prokuratura z Wysokiego Mazowieckiego. Wyglądała całkiem sympatycznie, ale Rytel nie mógł dojść z nią do porozumienia. Interesowało ją jedynie to, co robił 15 kwietnia, a że nie był w stanie odtworzyć wydarzeń sprzed blisko miesiąca, odesłała go na trzy miesiące do Aresztu Śledczego w Białymstoku.

Rytel wpadał we wściekłość, to skrajne przygnębienie. Czas najpilniejszych prac polowych mijał, a on siedział beczynnie w areszcie, na dodatek — oskarżony o pobicie na szosie, wspólnie z nie znanymi mu braćmi Terlikowskimi, trzech mężczyzn. W 24-osobowej celi gnieździło się około 50 aresztantów. Większość stanowili młodzi: twardzi, cyniczni, grypsujący, nie po raz pierwszy „w pudle”. Na jego szczęście było też kilku „frajerów”: dwóch dyrektorów, główny księgowy... Muślieli się trzymać razem, by uniknąć bicia i zbyt drastycznych upokorzeń. Jeden z dyrektorów przemycił do celi ołówek i strzęp papieru. Rytel zapiskami wspierał swą pamięć. Co fał się wciąż do 15 kwietnia, obliczał, jaki to był dzień tygodnia, w jakiej odległości od Wielkanocy. Powoli pusta data zaczynała nabierać konkretniejszych rysów, a składające się na nią godziny — wypełniać treścią gospodarskich zajęć. 18 IV, w poniedziałek, szła z synem o wies. Przez trzy wcześniejsze dni — 14, 15 i 16 — zajmowali się ciągnikiem. Remont prowadził znajomy mechanik, Leonard Piątkowski. Pomagali dwaj sąsiedzi: Gienek Wołński i Stefan Skupieński. W piątek, 15 IV, Piątkowski kończył robotę już przy dobrej ciemnicy, potem razem jedli kolację. Byli też u niego w Zakrzewie Wielkim syn z synową.

Rytel nabierał otuchy: mechanik i sąsiedzi na pewno potwierdzą jego słowa, jeśli Sąd nie uwierzy jemu i rodzinie. Poza tym bracia Terlikowscy przyznali się do udziału w zajściu na drodze, ale jego w nie nie wplątali, chociaż znali akt oskarżenia i mogliby skorzystać z okazji, by podzielić się winą z obcym gościem. Spodziewał się więc lada dzień zwolnienia z aresztu. Tymczasem prokuratura przedłużyła sankcję. Wyglądało mu na to, że będzie siedział aż do rozprawy.

ZE WSTĘPNEJ LEKTURY akt sędzia i ławnicy mogli sobie wyrobić jedynie ogólny pogląd na przebieg zajścia. Andrzej Wujek, trzydziestoletni prywatny instalator c.o. z Malkini, 15 kwietnia pracował w Ryszarda Moczulskiego w Nurze. Pomagał mu jego stały (23-letni) pomocnik, Krzysztof Kulczyński, oraz szwagier, Stanisław Manowski z Białegostoku, który miał zamiar zmienić pracę i przyjechał do Wujka przyglądać się jego zajęciu i ewentualnie potermi nować u szwagra. Wieczorem wyjechali z Nura warszawską szosą do Malkini. Zatrzymali się na wysokości wsi Zakrzewo Słomy. Powodem postoju była rzekomo awaria silnika. W czasie postoju Wujek zgubił „na stronie” kluczyki. Był dość mocno wstawiony, bo pił alkohol w trakcie roboty i potem, przy zakrapianej kolacji u Moczulskiego, dlatego prowadził Mañowski. Ostatecznie doszli do wniosku, że mogliby uruchomić „malucha” przez zwarcie w stacyjce przy pomocy pięćdziesięciogroszówki, lecz nie znaleźli w kieszeniach tak drobnej monety. Postanowili szukać 50-groszowego ratunku u innych. Akurat od strony Warszawy nadjeżdżała syrena braci

Terlikowskich, którzy udawali się do rodziców w Nurze. W Malkini wzięli pod plandekę żołnierza jadącego na przepustkę do podnurskiej wsi. Zatrzymali się, gotowi udzielić pomocy, jednak drobnych również nie mieli. Żołnierz natomiast szybko podszedł do Terlikowskiego, a gdy ten nie chciał zapłaty za podwiezienie, biegiem ruszył przez pola do swej wsi.

Pijany Wujek był nachlany, coś głądził Terlikowskemu, nie pozwalał im odjechać, pokładał się na masce syreny. Według braci — Terlikowskich — Mieczysław odsunął od samochodu marudzącego faceta, pijany osunął się na ziemię, a wtedy z „malucha” wyszło dwóch, którzy ruszyli w ich stronę. Terlikowscy wskoczyli do wozu i odjechali. W Nurze wstąpili do znajomego milicjanta, Zdzisława Boratyńskiego, aby mu powiedzieć o pijanych na drodze, sierżanta jednak nie było w domu, udali się więc do swoich rodziców. Tadeusz położył się spać. Mieczysław zbierał się do snu przed północą, kiedy stwierdził brak zegarka, dość cennego „Tissota”, przywiezionego z Libii. Pomyślał, że odpiął mu się na drodze podczas szarpania. Zbudził brata, ale poszukiwania przy skąpm światła latarki nie dały rezultatu. Około południa Mieczysławowi udało się skontaktować z Zdzisławem Boratyńskim. Z rozmowy funkcjonariusz nie sporządził żadnej notatki.

POBICI NATOMIAST przedstawiali następującą wersję: Manowski i Kulczyński siedzieli w „maluchu”, a Wujek rozmawiał z pasażerem syreny. Po chwili kierowca zaszedł Andrzeja Wujka od tyłu i odepchnął od samochodu, a wtedy wysiadł też pasażer i uderzył go w głowę czymś twardym. Gdy Wujek usiłował się podnieść, otrzymał drugi cios, po którym stracił przytomność. W każdym razie kopania już nie czuł. Na pomoc Wujkowi ruszył Krzysztof Kulczyński, ale dostał w głowę, zaczął z krzykiem uciekać w stronę lasu. Manowski, przerażony sceną, od razu rzucił się do ucieczki, ale napastnik dosięgnął jego ręki metalowym prętem. Chłopak jednak biegł dalej, aż potknął się i wpadł do zagłębienia. Słyszał odgłosy pościgu, więc gorączkowo nagarniał na siebie zwiedle liście, by jasny sweter nie zdemaskował jego kryjówki. Kiedy przychylił, odczołgał się ostrożnie w głąb lasu. Kulczyński natomiast, spostrzegłszy zza drzew odjeżdżającą w stronę Nura syrenę, odczekał 15—20 minut i wyszedł z ukrycia. Gdy podchodził do „malucha”, niespodziewanie napadli go znów tamci dwaj z syreny w towarzystwie trzeciego mężczyzny, wszyscy uzbrojeni w pręty. Ten trzeci kazał mu podnieść ręce do góry, obszukał kieszenie. Zabrał paczkę caro i zdzielił prętem w ucho, aż Kulczyński zwałił się na ziemię. Następnie napastnik podszedł do leżącego Wujka, uderzył go kilka razy prętem po plecach i również przeszkukał mu kieszenie. Wreszcie cała trójka wsadziła Kulczyńskiego do fiata i odjechała syreną. Wtedy wygramolił się z auta i poszedł w stronę wsi. Po drodze dołączył do niego Manowski. Zapukali do jakiejś chałupy, powiedzieli gospodarzowi o zajściu, poprosili o pomoc dla leżącego na szosie, a sami... wsiedli do autobusu jadącego do Malkini. Manowski wysiadł po drodze, w Rostkach, by przemocować u ojca. Był tak przerażony, że zarygłował się w pokoju i do rana nie reagował nawet na pukanie ojca.

Poinformować rodzinę o nieszczęściu, jakie spotkało Andrzeja Wujka, miał Kulczyński. Odtąd sprawa jest klarowniejsza i ma więcej świadków. Krzysztof Kulczyński wywiązał się bowiem z zadania nienagannie: wkrótce żona i siostra Andrzeja Wujka powiadomiły o wypadku Pogotowie w Ostrowi Mazowieckiej.

Ojciec i brat Danuty Wujek pracowali w Malkini jako taksówkarze. Rodziny ruszyły dwoma samochodami w kierunku Nura, zabierając po drodze Roberta Kulczyńskiego, brata poszkodowanego w bójce Krzyśka. Na miejscu zdarzenia stała grupa ludzi i karetka pogotowia. Irena Wileńska, siostra Wujka, podbie-

gła do karetki: nosze były puste. „Co zrobiliście z bratem?” — krzyknęła do człowieka w białym fartuchu.

SIERŻANT BORATYŃSKI zjawił się na szosie przed karetką, tuż po zaalarmowanych rolnikach. Gdy chwilę później nadjechał również komendant posterunku, Boratyński relacjonował mu zwięźle: „Pobili się dwaj szwagrowie; jeden uciekł, drugi, pijany, spi”.

Przewrócili Wujka na plecy. Oknął się, coś mamrotał. Pomogli mu wstać. Na pytanie, kim jest, skąd wracał, odpowiedział logicznie, ale wkrótce znów osunął się na ziemię. Komendant polecił Boratyńskiemu zająć się sprawą. Sierżant zadecydował, że zawiezie poszkodowanego do Nura, do Moczulskiego, żeby się tam przespał i wytrzeźwiał. Tymczasem nadjechała karetka z Ostrowi. Boratyński oświadczył, że pomoc lekarska nie jest Wujkowi potrzebna.

Irenie Wileńskiej natomiast powiedział: „Nie powinien być tak do stać... Nic się bratu nie stało. Jest pijany i spi. Tyle że ma podbite oko. Najlepiej wracajcie do domu, a ja wam sam jutro Andrzeja przywiozę”. Ale Irena Wileńska nie czuła się uspokojona. Chciała wiedzieć, skąd Boratyński wytrzasnął tę bójkę między szwagrami, skoro Krzyśiek opowiadał o napadzie rabunkowym. Boratyński zmieszał się i już nie oponował przeciw wspólnej jeździe do Nura.

Andrzej leżał na kozetce twarzą w dół. Gdy Irena go odwróciła, Moczulska aż krzyknęła ze zdumienia: „O Jezu, on taki nie był!” Twarz mu spuchła, na powiekach i pod oczami pojawiły się krwiaki. Usiłował wymówić imię siostry. Wileńska zadecydowała, żeby wieść brata własnym samochodem do szpitala w Ostrowi. Boratyński protestował. Po tem kompromisowo proponował sprowadzenie pogotowia z Wysokiego Mazowieckiego, ale Wileńska nie zamierzała liczyć się z jego zdaniem.

Gdy jej mąż powiózł Wujka do szpitala, dochodziła północ. Bracia Krzysztofa Kulczyńskiego i Stanisława Manowskiego rozmawiali jeszcze przed domem Moczulskiego, kiedy zelektryzowała ich przejeżdżająca znajoma syrena. Wsiedli do samochodu Zdzisława Manowskiego i ruszyli jej śladem. Dogonili ją po kilku kilometrach. Stała dokładnie w miejscu incydentu. Ktoś chodził po poboczu przyświecając sobie latarką. Zdzisław Manowski zwinął, ale szybko dodał gazu, gdyż dostrzegł wysiadającego z samochodu mężczyznę z prętem w ręce. Zatrzymali się około 50 metrów dalej. Po chwili syrena zawróciła. Ruszyli za nią, lecz trzymali się w bezpiecznej odległości. Mieli już zanotowany numer rejestracyjny pojazdu.

Następnego dnia rodzina Andrzeja Wujka złożyła na posterunku w Nurze zażalenie na postępowanie sierżanta Boratyńskiego i poprosiła komendanta o odsunięcie go od prowadzenia tej sprawy. Poinformowała też, że poszkodowany Krzysztof Kulczyński w trzecim napastniku rozpoznał rolnika ze wsi Zakrzewo Wiekie (z sąsiedniej gminy Zareb Kościelne), Zygmunta Ryty. Komendant kazał natychmiast go przesłuchać posterunkowemu Popławskiemu. Ponieważ był to młody i niedoświadczony milicjant, przydzielił mu do pomocy sierżanta Boratyńskiego.

Jechali do Zakrzewa Wielkiego dwoma samochodami: Popławski,

Boratyński, mąż Ireny Wileńskiej i dwaj bracia Mariowscy. Przed wsią Boratyński oświadczył nieoczekiwanie, że nie ma po co przesłuchiwać Ryty, bo jest on niewinny. Sprawca napadu są bowiem bracia Terlikowscy; byli u niego przed południem i powiedzieli, że wieczorem zażyczyli ich na drodze jacyś pijani faceti, którym dali trochę po ryju. Nagabywany, przyznał, że ukrywał prawdę, gdyż Terlikowscy są jego kolegami, a poza tym nie sądził, że sprawa przybierze taki obrót.

Zawrócili do Nury Wileńskiej nalegał, żeby sierżant przyjął oficjalne zgłoszenie o zajściu i przesłuchał świadków. Zdzisław Boratyński miał inną propozycję: „Poczekajmy z tym do powrotu Andrzeja Wujka ze szpitala. Przecież nie poważnego się nie stało. Wujek żyje, Terlikowscy to fajne chłopcy, jakoś się z nimi dogadacie”. Kiedy jednak tamci nie dawali się przekonać, powiedział, że by załatwili sprawę z Popławskim, bo on nie ma czasu, jedzie na wesele.

MINAŁ PRAWIE MIESIĄC; 10 maja zatrzymany został Zygmunt Ryteł, 13 dni później — Tadeusz i Mieczysław Terlikowscy. Głównym (a w przypadku Ryty — jedynym) świadkiem oskarżenia był Krzysztof Kulczyński. Gdy szarpalina na szosie miała się przeradzać w napad rabunkowy z udziałem rolnika z Zakrzewa Wielkiego, Andrzej Wujek leżał nieprzytomny na szosie, a Stanisław Manowski — w jakimś dole, przykryty liśćmi. Gdyby było inaczej, Manowski również roz-

miał na sobie sweter, koloru nie pamiętam. Spodnie z dreluchu, koloru podobnego do stalowego, lekko brudne. Na nogach gumaki, długość prawie do kolan, koloru czarnego, wybrudzone obornikiem do wysokości kostki. Na głowie miał czapkę typu „maciejówka”.

Zastanawiający jest fakt, że na etapie śledztwa nie zrodziły się wątpliwości co do wiarygodności zeznań Krzysztofa Kulczyńskiego, który jest fizycznie i psychicznie upośledzony, a do tego ma opinię złodziejaską. Natomiast oskarżony Ryteł, 58-letni bardzo dobry rolnik, cieszył się nieposzlakowaną opinią. Nigdy się nie mieszał w burdy. Soltysował przez trzy kadencje, był radnym Gminnej Rady Narodowej, członkiem Rady Nadzorczej Gminnej Spółdzielni. Dlaczego ten spokojny człowiek miałby nagle dać się „porwać” nie znanym młodym ludziom, bić innych młodzieńców prętem, obrabować ich z 2000—3000 złotych i paczki caro, choć nigdy w życiu nie palił papierosów? A czy Terlikowscy zdołaliby pokonać trasę do Zakrzewa Wielkiego i z powrotem w ciągu 20 minut? Kto i dlaczego nadał zeznaniom Krzysztofa Kulczyńskiego taki piękny „szlif”, który wprowadził wzmocniał oskarżenie, lecz deformował obraz? Polowa rolników w okolicy ubiera się niemal identycznie, a który z nich po wieczornym obrządku rozsiewa zapach Chanel nr 5?

WATPLIWOSCI, których nie mieli przedstawiciele organów ścigania, zrodziły się natychmiast u sędziego. Zygmunt Ryteł

ze służby. Gdyby 16 kwietnia nie zaniechał przesłuchania Ryty, być może nie trafiłby on do aresztu, wtedy bowiem i on, i jego świadkowie bez trudu potrafiliby powiedzieć, co robił poprzedniego wieczoru.

Dość tajemniczo w całej sprawie przewijał się też wątek kłusowniczy. Otóż 16 kwietnia całą okolicę otębiała błyskawicznie wieść o planowanych przez milicję poszukiwaniach kłusowniczego sprzętu — sieci, żaków, niewodów. Będąc jeszcze w szpitalu — Andrzej Wujek miał podobno powiedzieć o sprawcach pobicia: „To ci rybacy z lewej strony Bugu”. Potem jednak tego nie pamiętał. Rolnicy z podnurskich wsi wspominają półgębkiem, że zajście miało miejsce w pobliżu ulubionych „stanowisk” kłusowników ryb, ale to nie wystarcza za wyczerpujące wyjaśnienie.

Sąd, oczywiście, nie wglądał się w szczegóły nieistotne dla oceny winy czy niewinności oskarżonych. Proces nie mógł też wyjaśnić kwestii, dlaczego Ryteł trafił na ławę oskarżonych. Może przez zemstę Krzysztofa Kulczyńskiego, którego przyłapał raz i drugi na próbach drobnych kradzieży? A może to sprawa pana Z., którego jakieś dwa lata wcześniej zdemaskował, wraz z innymi rolnikami, za ewidentne machlojki z mlekiem? Oszustwo udowodniła specjalistyczna komisja, sprawa trafiła nawet do prokuratury, ale stamtąd nie wyszła.

Sąd pierwszej instancji uniewinnił Zygmunta Ryty; wyrok został

spiećcia



9

DZIENNIK
1987-03-15

Czytelnik, któremu w Zespole Przychodni Specjalistycznych przy Szosie Zambrówskiej w Łomży przesłano głowę, otrzymał zdjęcie z opisem: „W okolicy serca i płuc zmian nie stwierdzono”. Z głową faktycznie coś tu nie tak.

Niedawno w obiegu pojawił się banknot 10 000-złotowy. Jest to papier o najwyższym (w złotychkach) nominale w historii polskiego pieniądza. W 1923 roku Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa wyemitowała banknoty o wartości 5 000 000 i 10 000 000. Były to polskie marki. Zważywszy fakt, że do 65-lecia tego wydarzenia pozostał nam tylko rok, przed nami okres wzmożonego trudu.

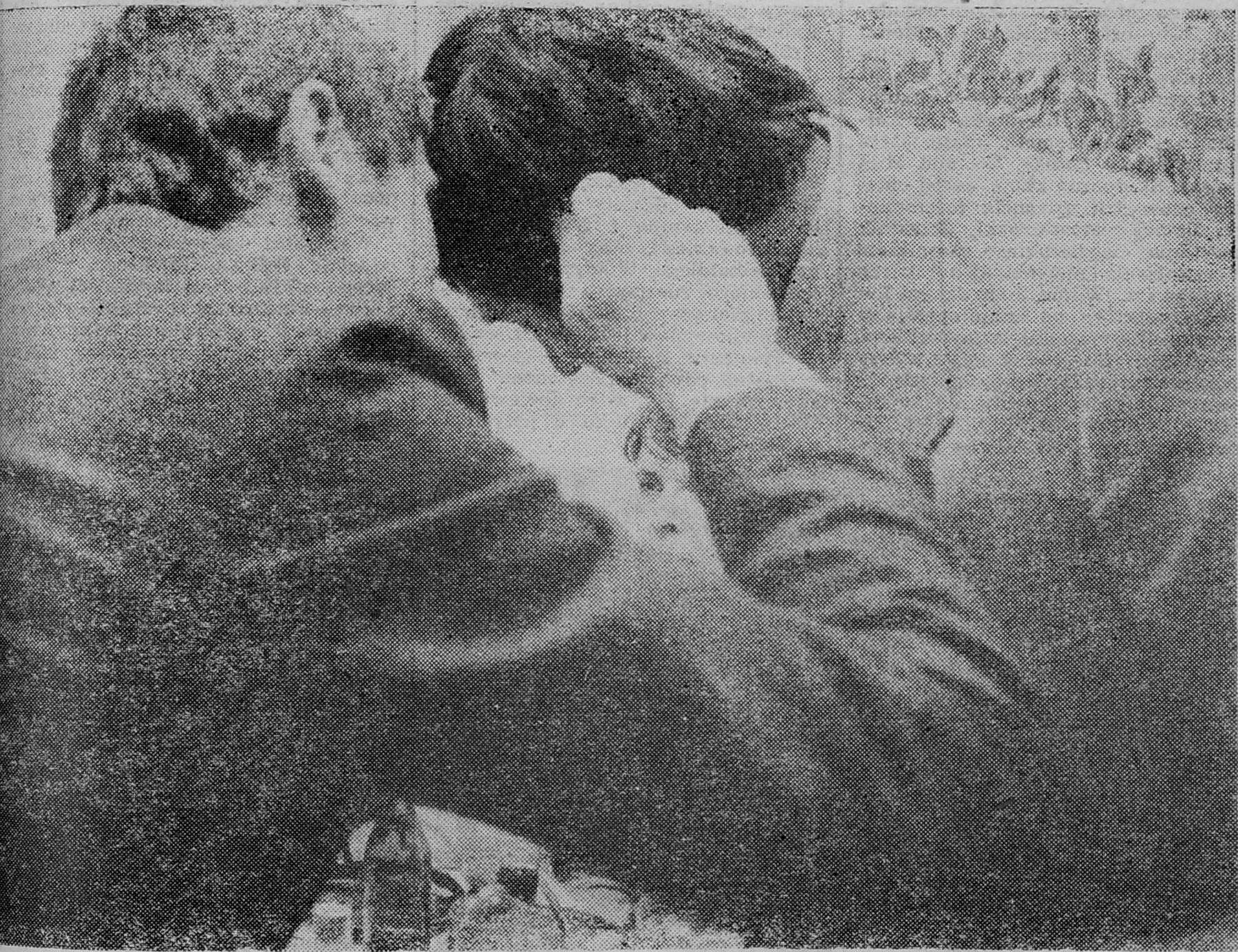
Ponad tydzień pracownicy restauracji „Kameralna” przygotowawali się do nie zapowiedzianej kontroli: pomylili okna i podłogi, przystroili je czystymi firankami i dywanami. Przez dwa dni nie sprzedawano w „Kameralnej” piwa, zwiększono liczbę kelnerów. Niestety, kontrola nie przybyła. Następnego dnia zdjęto więc dywany i zaczęto sprzedawać piwo. Potiomkin, gdyby żył, też by się spili!

Jak donosi Polska Agencja Prasowa, dzięki zastosowaniu do igieł jednorazowych specjalnych nasadek aluminiowych będzie je można używać trzy-cztery razy. A może ktoś wynajdzie igły wielorazowe?

Mieszkaniec jednej z podłomżyńskich wsi, starający się o przyspieszenie przydziału mieszkania w Łomży, napisał podanie, które wysłał do oczu. Kiedy jednak na miejsce udała się specjalna komisja, daremnie szukała rudery z poddaszem, gdzie sufit walił się na głowę, a woda leje po ścianach. Znalazła natomiast piętrowy, masywny budynek, a w nim iście królewskie apartamenty, domagające się głównie wody, proszku, ściereki i ręk. Bywają kłamstwa szyte zbytnie cienkimi niciami; pękają w szwach.

W trakcie libacji w jednym z łomżyńskich miasteczek, podczas której jednemu z uczestników zgineła spora suma pieniędzy; wobec podejrzanych kompani zastosowali metody śledztwa, jak bicie pięścią, straszenie rozżarzonymi węglami oraz ciągnięcie za delikatny organ kablem od żelazka. Ten ostatni sposób wypłynął zapewne z przekonania, że każdy, podłączony do „wyskrywacza kłamstw”, drgnie.

Nagrodę 500 złotych za najlepszy sygnał tygodnia. „To się nadaje do „Spiećcia” otrzymuje autor informacji o potiomkinowskim zacięciu gastro-nomików z „Kameralnej”.



poznałby Ryty, gdyż był on bliskim znajomym jego ojca.

W grudniu 1983 roku rozpoczął się proces. Kiedy zaczął zeznawać Krzysztof Kulczyński, sąd z trudem ukrywał zdumienie. Świadek ledwo słyszał, a z tego, co usłyszał, niewiele rozumiał. Słuchający rozumieć jeszcze mniej, gdyż wypowiedzi jego były urywaniem belkotem i trzeba było posilkować się specjalnym tłumaczem. Ale to nie kalestwo świadka spowodowało konsternację sądu, lecz zestawienie jego „słowa mówionego” z zeznaniami zaprotokołowanymi w trakcie śledztwa. Na pytanie sędziego, po czym rozpoznał, że buty Ryty są ubrudzone obornikiem, Kulczyński wybełkotał: „Bo śmierdzi głównie tym od krowy, łapy śmierdziało głównie”, a na precyzujące: „Czy świadek wie, jaki jest zapach gnoju?” — wyjaśnił: „Rece, buty, to jest zapach”. Natomiast czytając akta odnosiło się wrażenie, że zeznawała osoba bardzo sprostregawcza i inteligentna, która organom ścigania tak odmalowała rysopis rozpoznanego w ciemnościach napastnika: „Ryteł ubrany był w brązowy, skóropodobny serdak koloru jasny orzech, zapinany na guziki obszyte skórą. Serdak posiadał naszyte pętelki, był zapięty. Ryteł

został po pierwszej rozprawie zwolniony z tymczasowego aresztu. Różne wątpliwości budził natomiast rozmiar winy Terlikowskich. Najbardziej niejasny pozostawał przebieg zajścia od momentu zatrzymania się „malucha”. Awaria silnika wydawała się nieco naciągana. Niezupełnie wiarygodne były też motywy ucieczek z szosy — najpierw podwożonego przez Terlikowskich żołnierza, który przed Sądem wyraźnie wysilał się, by nie powiedzieć, potem Stanisława Manowskiego; jego zachowanie tłumaczyłoby jedynie strach przed spotkaniem z milicją na miejscu zajścia, jeśli był kierowcą i np. wypił. Dlaczego jednak doświadczony milicjant nie pomyślał w ten sposób, lecz rozsiewał wieść o pobiciu się dwóch szwagrow?

Samo pojawienie się sierżanta na miejscu incydentu również należy uznać za nadzwyczaj szczęśliwe, choć nieoczekiwane. Miał jakoby tropić w okolicy Cyganów... Zachowanie się Zdzisława Boratyńskiego dało nie tylko pozory do licznych plotek i przypuszczeń, lecz także podstawę do wszczęcia przeciw niemu postępowania dyscyplinarnego. Sierżant niejako ułatwił przełożonym zadanie prośbą o zwolnienie go

również utrzymany w rewizjach. Sprawa jednak ciągnęła się przez trzy lata, choć na wokandach często nie gościła. Przedłużały ją badania psychiatryczne, okresy uzasadniania wyroków, oczekiwanie w kolejkach do rozpatrzenia przez wyższą instancję. Dopiero w końcu 1986 r. Zygmunt Ryteł mógł się poczuć „prawomocnie uniewinniony”. Spodziewał się jednak, że uniewinnienie będzie rodzajem publicznej rehabilitacji.

— Czyżby w naszym kraju było podlec czy przygłupek miał prawo możliwości rzucić na człowieka, który rzetelnie przepracował tyle lat w zgodzie z ludźmi, przepisami i własnym sumieniem, najgorsze pomówienie, a nie było sposobu naprawienia takiej krzywdy? Przecież odebrano mi rzecz najcenniejszą: dobre imię.

W 1985 r. w polskich sądach wydano 2717 wyroków uniewinniających. Statystyki nie mówią nic na temat dramatów, które kryją się za tymi — zdawałoby się — szczęśliwymi zdarzeniami. Szacunkowo mniej niż 100 z tych osób stara się o odszkodowanie; niewielu z nich udaje się je otrzymać.

Rok 1853 zaczął się dla całej Polski zaboru rosyjskiego pomyslnie. W początkach września nadeszła do Warszawy wiadomość o upadku Sewastopola, a kilka miesięcy wcześniej — o śmierci Mikołaja I. Grudzień przyniósł zmianę na stanowisku naczelnika Królestwa. W związku ze śmiercią chorąbą zniechęconego Paskiewicza funkcję namiestnika objął przejsiow gen. Wincenty Krasiński.

Królestwo Polskie w połowie XIX wieku liczyło niecałe 5 milionów mieszkańców; z rolnictwa utrzymywało się 80 proc. Pod względem efektów gospodarowania należało do najbardziej zacofanych krajów w Europie środkowej.

Powiat łomżyński był wtedy jednym z pięciu wchodzących w skład guberni augustowskiej. Miał największą liczbę ludności (161 000), a pod względem obszaru przewyższał go tylko augustowski. Zamieszka-

Ogłoszony w październiku 1861 r. stan wojenny w całym kraju i związane z nim restrykcje spowodowały stopniowe wygaśnięcie manifestacji. Przyszli czas na konspirację. Początki organizacji narodowej w Łomżyńskim wiąza się z osobą Bronisława Szwarcęgo (urodzony w 1834 r. jako syn emigranta polistopadowego, wykształcony we Francji, przybył do Polski w 1859 z grupą inżynierów zwerbowanych do budowy kolei warszawsko-petersburskiej). W 1861 r. — w porozumieniu z kołami patriotycznymi młodzieży, a następnie komitetem miejskim w Warszawie — Szwarcę rozwinął działalność przygotowawczą do powstania.

Jesienią 1862 r. rozpoczął pracę organizacyjną w Łomżyńskim Władysław Cichorski, pseudonim „Zameczek”. Zagrożony w Warszawie aresztowaniem, zajął się wśród szlachty zagonywej i Kurpiów agitacją. Nie znając jeszcze okolicy ani

zanych z poborem, a nawet stawiali opór. Władze powstańcze w Warszawie przywiązywały dużą wagę do tych terenów: pogranicze województw plockiego i augustowskiego (Puszcza Kurpiowska) zostało przewidziane jako jeden z dwóch (obok sandomierskiego) punktów koncentracji powstańców.

Przeprowadzenie w Warszawie branki z 14 na 15 stycznia 1863 r. zmusiło „czerwonych” do przyspieszenia powstania, które wyznaczono na 22 stycznia. Siły zgromadzone przez „Zameczka” wynosiły — według jego relacji — około 1800 sprysiężonych, na których przypadało 60 sztuk broni palnej i trochę kos. Poza tym w pobliżu Łomży zgromadziło się ponad 100 młodych ludzi, zbiegłych z Warszawy przed branką. Przeciwno tym siłom władze carskie rozporządzały formacjami wchodzącymi w skład 6 dywizji, rozlokowanej w guberni plockiej i augustowskiej.

go dyktatora, Mierosławskiego, czytamy: „Łomżyńskie wystąpiło licznie [...] Bito się nader walecznie pod Mężeninem i Surazem. Materiał doskonały, odwaga wielka. Brak było dowódcy”.

Gdy oddział „Zameczka” odszedł, w powiecie łomżyńskim zapanowała cisza. Dla ożywienia w nim powstania Rząd Narodowy skierował w początkach marca pułkownika Konstantego Ramotowskiego, pseudonim „Wawer”, który w lasach koło Komorowa założył obóz. Ściągały do niego resztki oddziałów Podlewskiego i „Zameczka”. Gdy 25 marca „Wawer” dowiedział się, że z Sokółów wyruszyły przeciwko niemu oddziały carskie, wycofał się z 200 ludźmi w lasy augustowskie.

Wiosną w Łomżyńskim mijala pod znakiem działalności małych oddziałów, małych utarczek, napadów na transporty pocztowe. Zarząd Poczty zmuszony był wydać urzędowi pocztowemu w Su-

POWSTANIE NADZIEI

był głównie przez ludność polską: Kurpiów, Mazurów, Podlasiaków. Najciekawszą grupę stanowili Kurpie, osiedli na terenie Puszczy Myszynskiej. Skupiali się tu w liczbie około 16 tysięcy w 74 wsiach. „Rolnictwo z powodu małej ilości gruntów i to niskiej jakości jak też braku zamożności Kurpiów do pracy na roli stało u nich na niskim poziomie” — pisze Aleksander Polujński w swoich „Wędrowkach”. Kobiety wyrabiały płótno, a mężczyźni zajmowali się myślistwem, połączonym z kłusownictwem, toteż posiadanie broni palnej, legalne lub nielegalne, weszło im w krew.

Przez gubernię augustowską przebiegała szosa bita, łącząca Warszawę z Kownem i Petersburgiem. Stanowiła ona nie tylko drogę przebiegu gońców carskich i poczty, ale i trasę przejazdu samego monarchy. (Znaczenie tej drogi osłabiło dopiero otwarcie w 1862 warszawsko-petersburskiej linii kolejowej).

Charakterystyczny był stosunek władz Królestwa do tej części kraju, którą obrano na miejsce karnego osiedlenia przestępców politycznych. Za rządów Wielkopolskiego nazywano Augustowskie „polską Syberią”. W przeciwieństwie do niektórych innych regionów kraju — brak tutaj śladów jakiegokolwiek manifestacji i nielegalnej działalności politycznej przed marcem 1861 r. Dopiero wieść o salwie do tłumów w Warszawie 27 lutego 1861 r. i następne wydarzenia wywołały tu wstrząs. Równolegle z falą nabożeństw rozpoczęło się zbieranie podpisów pod adresem do cara. Gubernator Fersen telegrafował w przeddzień 9 marca do Warszawy prosząc o dyspozycję. Gorczakow polecił ogłosić, że podpisywanie adresu jest bezprawiem, groził karami „Akcja podpisowa zaczęła się jednak — pisze w książce „Powstanie styczniowe w Augustowskim” Stanisław Chankowski — wychodząc stopniowo poza krąg szlachty. Do akcji starano się wciągnąć Żydów.”

Zgodnie z zarządzeniem namiestnika — w początkach kwietnia zamknięto resursę w Łomży. W kraju, także w Łomżyńskim, rozpoczął się chłopski ruch oporu przeciwko państwu. Włączali się do niego tzw. leśni ludzie, rekrutujący się spośród represjonowanych uciekinierów z miasta. W lipcu 1861 r. naczelnik powiatu łomżyńskiego donosił Warszawę o pojawieniu się ich w okolicy Zambrowa i Jedwabnego. W pobliżu Ciechanowa schwytano 3 osoby podejrzane o namawianie chłopów do nieposłuszeństwa.

Wiosną i latem nadal odbywały się manifestacje patriotyczne w postaci nabożeństw, pochodów, procesji i odpustów. Gubernator Fersen wydał 10 czerwca zakaz noszenia strojów i oznak narodowych, po czym nastąpiły aresztowania osób, które się zakazowi nie podporządkowały. Jednym z ostatnich akcentów zamajających okres manifestacji była tłumna procesja w Łomży (28 IX 1861 r.) z okazji poświęcenia krzyża wzniesionego ze składek mieszkańców na pamiątkę wypadków warszawskich. Odąd pod krzyżem gromadzili się mieszkańcy Łomży na wspólne śpiewy religijno-patriotyczne.

ludzi, „Zameczek” nie od razu zyskał ich zaufanie. Udało mu się wciągnąć do spisku młodzież rzemieślniczą, drobnoszlachecką oraz chłopów. Centralny Komitet Narodowy — w uznaniu jego zasług — przysłał mu nominację na organizatora konspiracyjnie utworzonego województwa łomżyńskiego. Do pomocy przysłał mu z Warszawy Walerego Mroczkowskiego, pseudonim „Kamiński”, studenta Akademii Medyko-Chirurgicznej, który agitował głównie wśród drobnej szlachty. Czynnym, zwłaszcza wśród młodzieży, agentem Komitetu Centralnego był nauczyciel matematyki gimnazjum w Łomży, Leopold Mieczysławski. Skuteczną akcję wśród chłopów prowadził szlachcic zaściankowy, Ignacy Mystkowski, uczestnik powstania węgierskiego. Setnikami w organizacji łomżyńskiej był Jakub Mystkowski. Wśród ludu działał Jan Rzędzian, który od znajomych żołnierzy w Białymstoku skupował broń i amunicję. Spośród księży, którzy uczestniczyli w przygotowaniach do powstania, należy wymienić wikarza z Sokółów, ks. Stanisława Jamiołkowskiego, i ks. Michała Skiw-

Plan „Zameczka” przewidywał uderzenie w trzech punktach: w Tykocinie, Wysokiem Mazowieckim i Surazem. W nocy z 22 na 23 stycznia na punktach zbórnych zgromadziło się znacznie ponad 1800 spiskowców. Słabe uzbrojenie pozbawiało jednak wartości bojowej sporą ich część. Tej nocy do walk nie doszło; powodem był nadesłany z Warszawy mylny rozkaz, przesuwający wybuch powstania o 3 dni.

23 stycznia oddział powstańczy, złożony z drobnej szlachty pod dowództwem geometry Leopolda Chrzanowskiego, po utarcze z kompanią rosyjską zajął Sokół. W nocy z 23 na 24 stycznia zaatakował Wysokie Mazowieckie, a 24 — Tykocin. Inne oddziały pod dowództwem ziemianina z Lisowa, Józefa Szepletowskiego, oraz byłego oficera Garibaldiego, Władysława Wilkoszewskiego, ruszyły na Mężenin. Jedynie pierwszy z ataków zakończył się chwilowym zajęciem miasteczka; w Tykocinie i Mężeninie powstańcy zostali odparci. „Zameczek” wojakowym nie był, więc apelował do Centralnego Komitetu o przysłanie mu oficerów.



skiego z Szumowa. Równocześnie z werbowaniem nowych członków organizacji rozpoczęło się zbieranie składek na cele narodowe. Zbiórka szła opornie. Wiele osób odmawiało zapłacenia, tłumacząc się daniem składek do narodowej kasy obywatelskiej, czyli partii „białych”.

Zaniepokojona aktywnością „czerwonych” szlachta zaczęła urządzać na pół jawne zebrania i zjazdy, ale gdy nadeszła z Warszawy wieść, że powstaniu nie można już zapobiec, część szlachty zebranej na zjeździe u właściciela, wsi Mały Płock, Pawła Grabowskiego, postanowiła przylączyć się do „czerwonych”. Organizacja narodową poparło duchowieństwo.

Z chwilą ogłoszenia zapowiedzi o rekrutacji przez władze carskie Komitet Centralny wydał rozporządzenie, aby burmistrzowie i wójtowie nie uczestniczyli w czynnościach zwią-

Rezultatem pierwszych walk było czasowe przerwanie połączenia kolejowego z Białymstokiem. 27 stycznia „Zameczek”, wspólnie z oddziałem spiskowców z Warszawy, którzy potęgą dotarli do Czyżewa, opanował stację kolejową w osadzie. Rosjanie — dla utrzymania linii kolejowej i urządzeń telegrafu — zmuszeni byli przysłać znaczne siły wojskowe.

W pierwszych dniach lutego 1863 r. „Zameczek” dozbierał i ćwiczył swój oddział, do którego nieustannie napływały ochotnicy. Gdyby nie brak broni, zdaniem „Zameczka”, mógłby ich mieć nawet 10 tysięcy. Po nieudanej potyczce pod Siemiatyczami (6-7 II 1863 r.) opuścił on gubernię augustowską, przechodząc pod komendę Padlewskiego w Plock.

W raporcie sporządzonym przez Stefana Bobrowskiego dla ówczesne-

walkach polecenie kierowania korespondencji nie przez Łomżę, lecz przez Sejny. Natomiast lato zaznaczyło się wzmożonymi działaniami wojennymi. Po porażce w Kozim Rogu „Wawer” powrócił na południe wraz z oddziałem Brandta i Czempieńskiego. Ścigany przez nieprzyjaciela — odparł natarcie w Radziszewie i Sieburczyźnie (6 VII). Po przekroczeniu Narwi 2200-osobowy oddział odpoczywał przez kilka dni w lasach koło wsi Grady w pobliżu Wizny, po czym wyruszył w kierunku lasów wyszkowskich, rozbijając na drodze Łomża-Zambrow dwie kompanie wojsk rosyjskich. Zaalarmowane dowództwo carskie wysłało przeciwko „Wawrowi” prawie 3000 żołnierzy. Uległ im w bitwie pod Rządziem (Plockie) 14 lipca.

Warto też wspomnieć o konnym oddziale Feliksa Górskiego, działającego wzdłuż linii kolejowej Warszawa-Petersburg (wslawili się na polityczkami z patrolami kozackimi), oraz o wyczynach Nadmiera, który we wrześniu 1863 r. stoczył dwie bitwy w okolicach Zambrowa. Odtworzył także wśród Kurpiów swój oddział Brandt, który w listopadzie wygrał utarczkę z kozakami pod Srebrnym Borkiem.

U schyłku listopada i w początkach grudnia działały w Łomżyńskim już tylko kilkucosobowe oddziały. Nie tylko surowa zima spowodowała zelżenie walk. Od sierpnia 1863 r. gubernia augustowska znalazła się pod władzą Murawiewa, który mianował gen. Ganeckiego naczelnikiem wojennym guberni grodzieńskiej i powiatu łomżyńskiego. Zaczęły się represje. Z Łomżyńskiego wywieziono 600 osób na Sybir (m.in. dyrektora szkoły w Łomży, Wittego).

Wiosną 1864 r. odrodziły się znów w Łomżyńskim ruchy powstańcze. W marcu i kwietniu nowe oddziały, przygotowane i wyekwipowane w Prusach, wkroczyły w Augustowskie. Miały one stanowić związek III korpusu wojsk narodowych, organizowanego zgodnie z planem Traugutta. Brak funduszy i broni nie pozwolił na wyekwipowanie nowych sił.

Przybyły z Prus oddział Wojskiego stoczył w ciągu kwietnia kilka bitew w Łomżyńskim. W Gąrzach 14 kwietnia kompanie Wojskiego, Bugielskiego i Kazięgrodzkiego uderzenie zaatakowały Rosjan. W dwa dni później ich sam dowódca stoczył niefortunną bitwę pod Kuziami; ich oddziały uległy rozbić. Bugielski próbował jeszcze zaatakować Jedwabne; został schwytany koło Grabowa i rozstrzelany (14 V 1864).

W ciągu maja doszło jeszcze do kilku potyczek. 4 V oddział Góralczyka walczył pod Małym Plockiem, 13 maja — w okolicach Dalerzbi, 18 maja między Dobrzyżalowem a Mikołajkami rozproszony został oddział Obuchowicza i na nich kochał się historia powstania w Łomżyńskim, choć jeszcze w maju 1863 r. Ganecki apelował o tropienie i chwytywanie „włóczęgów”.

Historia różnie ocenia sens powstania styczniowego. My pozostajemy przy myśli Norwida: „Upadek, który pozostał po sobie następstwem żywotne, jest zwycięstwem”.

KRZYSZTOF DWORNICZAK



PRZYPADKI KSIĘDZA ZIELIŃSKIEGO

Tym razem będę pisał wyłącznie o czasach minionych. Szperając w tomżyńskich aktach z okresu guberni natrafiłem na tezę personalną ks. Wincentego Zielińskiego. Darujmy sobie wycieczki w szczegóły z tej biografii. Kandydat na osobę duchowną ukończył gimnazjum w Łomży, po czym trafił do Seminarium w Sejnach. Nie poprzestając na tym, jak większość młodych księży, lecz wyjechał jeszcze na studia do petersburskiej Akademii Duchownej. Po powrocie ks. Wincenty Zieliński osiadł — za zgodą biskupa i władz administracyjnych — w Sejnach, a następnie w Suwałkach, gdzie miał nauczać religii w gimnazjum. Wyróżnienie to było znaczące, ale czy młodzi — nawet w sutannach — są w stanie docenić tak pomyślnie obroty koła fortuny?

Po roku ksiądz-profesor został usunięty z gimnazjum, a w jego aktach osobowych pojawiły się liczne pisma urzędowe, najczęściej z nadrukiem władz policyjnych. Dlaczego?

Zagadkę tę wyjaśnia treść doniesienia do dyrektorki Gimnazjum Żeńskiego w Suwałkach, opatrzonego datą styczniową 1886 r. i podpisem nauczyciela — Kozina. Główną treść tego Kozina. W Nowy Rok o 17.00 odwiedziło go dwóch kolegów z gimnazjum: nauczyciel matematyki, Lipski, i ks. Wincenty Zieliński. Przyszli pewnie w dobrym nastroju, cywilnie podpił, ksiądz „wyglądał, był trzeźwy”. Ten niespodziewany dzień skłania do wspomnień, smutna prognoza, swobodnej biesiady. Tak z pewnością sądził i goście, bo Lipski w pewnym momencie powiedział: „Pomiędzy tu mieszkającymi Rosjanami mało jest ludzi honoru, tak na przykład między nami (profesorami) należą do nich tylko Ko-

zin, Alfoński, może jeszcze ktoś, a cała reszta...”. W tym momencie — jak zaznaczył autor doniesienia — Lipski zrobił znaczący gest i wymienił spojrzenie z księdzem. Ksiądz zaś w chwilę później podeszedł do Kozina, poklepał go po ramieniu i orzekł, że można tu mówić swobodnie, bo Kozin nie wyda (akurat!) Ośmielony Lipski przypomniał, niepokojące warszawskie i zapowiedział ich powtórkę w Suwałkach. „No — perorował dalej — macie być spo-

kojni, was, Alfońskiego, Maksimowa (dyrektorka gimnazjum) nikt nie trąci, a pozostałych miotła wymiecie.” Zdradziecki Kozin tak w doniesieniu przedstawił ciąg dalszy noworocznej rozmowy: „Uznając zachowanie Lipskiego głupim, a moję — belkotem pijanego człowieka, zwróciłem się do niego żartobliwie: — To sprawa cienka, to pachnie Kamezatką! — Kamezatka — wtrącił się do rozmowy ks. Zieliński. —

Kamezatki my się nie boimy, ja z radością bym się tam udał, bo u nas Drang nach Osten. — Na pożegnanie ks. Zieliński dodał: — To będzie wnet. Ale wy możecie żyć spokojnie, was nie trącimy. Nazajutrz, kiedy spotkamy się w gimnazjum, wy nie nie dajcie po sobie poznać, że pomiędzy nami odbyła się ta rozmowa”

Młody ksiądz nie posiadał jeszcze umiejętności dobierania sobie rozmówców, za bardzo ufał dwulicowym. Tymczasem Kozin „poczuł obowiązek” doniesienia o wszystkim przełożonej, a ta zatrudniła miejscowe „sily porządkowe”. Z Suwałk popłynęły meldunki aż do Generała Gubernatora w Warszawie. Zrobiono pewnie zdemaskowanemu stosowny „wygawor”, ale ze skutkiem miernym.

Oto w końcu 1888 r. ks. Wincenty Zieliński podjął obowiązki wikariego w parafii łomżyńskiej. I znów pojawiły się meldunki żandarmerii. Było tak: do wikariego przyszedł strażnik ziemski, by „zaprosić” duchownego do urzędu, w którym mieli składać przysięgę rekruci wyznania katolickiego. Ksiądz miał odpowiedzieć, że nie przyjdzie, bo nie wie, gdzie jest ten urząd, a może jest on w d... (to ostatnie słowo żandarm zapisał w brzmieniu fonetycznym). Oczywiście, krył się za tym problem natury merytorycznej: władze kościelne opowiadały się za składaniem podobnych przysięg w kościele, carat zaś godził się jedynie na obecność księdza w urzędzie cywilnym. Buńczuczny wikary został wzięty pod obserwację, a w 1893 roku wyjechał z Łomży do Nowogrodu. I tam „podpadł”: urządził procesję po miasteczku w Boże Ciało, wspierał narodowców, zachęcał do walki o język polski, prowadził „polsko-lacińską propagandę”. „Wywrotowiec” był z ks. Zielińskiego okrutny.

Miałoby być o czasach minionych i niechaj tak będzie. Ale o wnioskach pomyśleć można. Chwalić księdza, że taki oporny wobec władzy państwowej (fakt, że carskiej w tym przypadku)? A może podnieść do rangi onoty poczucie obowiązku nauczyciela Kozina? Jedno jest pewne: i w dni świąteczne czujność nie śdawała. Tak sądzę, jakem

SWOJAK



Rys. Marka Polańskiego

11
KONTAKTY
1987-03-15

refleksje



dem-sit do odgrywania roli pośledniej. Czują jednak, że przyjdzie w końcu taka chwila, w której stanie przed swoją szansą, o ile, naturalnie, już teraz weźmie inicjatywę w swoje ręce.

Greg jadł właśnie śniadanie na werandzie, kiedy zawsze milcząca i jak gdyby nieobecna pokojówka Siegrid niespodziewanie zapytała: — Panie Marsden, nie wie pan przypadkiem, gdzie jest srebrna taca? Od kilku dni jej nie widzę. Nie mogę się też doliczyć paru noży i widelców ze stołowego kompletu starego pana Greya. Może jakiś dostawca je przywłaszczył? Zastanawiam się, czy mam zadzwonić na policję, czy też po prostu zaglądnąć do paru lombardów. Te przedmioty są w spisie i w każdej chwili pan Nowldige może zażądać, żebym mu je pokazała.

To zdumiewająco długie przemówienie pokojówki wywarło na Gregu wrażenie również i z tego powodu, że to właśnie on zaniósł do lombardu tacę, trzy srebrne noże i cztery widelce z rękojeściami sporządzonymi z kości słoniowej. Półtora tysiąca dolarów miesięcznie było sumą zbyt małą jak na jego potrzeby, toteż gdy zobaczył platerę porzucone niedbale wśród bezwartościowych bibelotów załagających półki kredensu, z miejsca wpadł na pomysł, żeby je zamienić na gotówkę. Oczywiście, nie przyszło mu na myśl, że ktoś mógł umieścić je tam celowo, narażając go w ten sposób na pokusę, której nie potrafił się oprzeć.

— Po co zaraz dzwonić na policję? — zapytał z niedbałą nonszalancją w głosie. — Na pewno gdzieś to wszystko tutaj jest i trzeba tylko dobrze poszukać.

— Dobrze szukałam, proszę pana, i nigdzie nie znalazłam — Siegrid uśmiechnęła się blade, odslaniając przy okazji poślizgniętą zębami. — Nie ma też cukiernicy i kilku kryształowych wazonów. W ogóle, proszę pana, odkąd zniknęła nasza pani, coś dziwnego dzieje się w tym domu.

— Tak? — zdziwił się Greg, czując jednocześnie niezbyt przyjemny chłodek, ciągnący wzdłuż kręgosłupa. Cukiernice, wazony kryształowe i parę innych cennych przedmiotów zastawił już wcześniej.

— Myślę, proszę pana, że złodzieja będzie można złapać nawet bez pomocy — pokojówka usiadła na krześle, czego nigdy dotąd nie robiła w obecności chlebodawców. — Powiadomię pana Nowldigę'a, odwiedzi mi kilka lombardów i z całą pewnością trafimy na któryś z tych przedmiotów, a może nawet na wszystkie. W lombardach, proszę pana, klient zawsze podaje swoje nazwisko, a jeśli nawet poda fałszywe, to właściciel będzie nam mógł opisać jego wygląd.

Greg poczuł, że traci grunt pod nogami.

— Nie sądzę, żeby trzeba było angażować do tego pana Nowldigę'a. On ma mnóstwo pracy i z pewnością nie będzie zadowolony, że mu się zawraca głowę takim drobiazgiem. Ja sam się tym zajmę.

— Jak pan woli — panna Siegrid wstała z krzesła — ale proszę się pospieszyć. Zaczekam kilka dni, a później, proszę pana, jeśli pan niczego nie znajdzie, skontaktuję się jednak z panem Nowldigę'em. Te sprawy trzeba wyjaśnić do końca; nie chcę, żeby podejrzenie padło na mnie albo na któregoś z domowników. Przecież ogrodnik tego nie zrobił, prawda?

Wyprowadzić się nie mógł i nie chciał, bo nie miał pieniędzy na zakup mieszkania, i mimo wszystko wolał być na miejscu, żeby nie dopuścić do ewentualnego rozgrabienia nieruchomości, która przedtem czy później będzie przecieży jego, przynajmniej w jednej trzeciej, bo Stefania nie zostawiła żadnego testamentu. Kiedy ma się trzydzieści parę lat, o śmierci raczej się nie myśli, toteż Nowldige'owi



udało się wymusić na niej jedynie powypadkowe, alimentacyjne zabezpieczenie dzieci.

Oczywiście nie miało to żadnego wpływu na sytuację finansową Marsdena, który chcąc nie chcąc musiał sięgnąć po książeczkę czekową wystawioną na jego nazwisko, spoczywającą dotąd w szufladzie biurka Stefani. Z tych półtora tysiąca dolarów miesięcznie mógł jako tako się utrzymać, ale życie na takim poziomie materialnym było — jego zdaniem — nędzną wegetacją, na jaką nieczym sobie nie zasłużył. A były to jedyne pieniądze, którymi mógł dysponować.

„Porcie do Edenu” (33) — Laloni Pasiche Silvens



rock serwis

Po nagraniach radiowych Helena Mieszkuniec-Chotodowska (na zdjęciu) ze swoim zespołem „Negro Spiritual Gospel” a także występach w Łomży na III Targach Jazzowych, Balu Prasy i finale wyborów Miss Podlasia) — przygotowuje nowy program. Mamy więc nareszcie w regionie zespół o randze ogólnopolskiej, ale czy będzie on w stanie przebić się na krajowy rynek rozrywkowy? Jak dotąd brakuje człowieka czy też instytucji, która zajęłaby się tą ciekawą grupą.

Tak często bywa, że o tym, co mamy, musimy dowiadywać się dopiero z tzw. centralnych przekazników informacyjnych. Po białostockich koncertach pokoju, które rejestrowała telewizja, popularność samej wokalistki i zespołu wzrosła. Nadal jednak traktowana jest ona jako piosenkarka prowincjonalna, a

szkoda. Helena i jej grupa to wielka nadzieja północno-wschodniej Polski na sukces podobny do tego, jaki osiągnęła kiedyś „Kasa Chorych”.

Tina Turner rozpoczęła wielkie, europejskie tournée. W czerwcu planuje się występy piosenkarki na stadionie Wembley, której towarzyszyć będzie grupa „Glass Tiger”. Swoją podróż zakończy Tina koncertem w Tel Awiwie — to już, niestety, Afryka.

Ballady Leonarda Cohena nagrała niedawno Jennifer Warnes. Płyta nosi tytuł „Famous Blue Raincoat”.

Nie zrażona niepowodzeniem „Shanghai Surprise” Madonna przystąpiła do realizacji kolejnego filmu — „Slammer”. U jej boku wystąpi m.in. Coati Mundi z zespołu „Kid Creole And Coconuts”. Premiera latem.

3 i 4 kwietnia tego roku w katowickim spodku odbędzie się drugi heavy-metalowy festiwal — „METALMANIA'87”. Przewiduje się występy zespołów „Turbo”, „TSA”, „Hammer”, „Destroyer”, „Running Wild” i „Helloween” oraz „Dragon”, „Stos”, „Wilczy Pająk”, „Open Fire” i „Kat”.

Amerykańskie gazety podały wiadomość: „Uwaga wielbiciele zespołu „Led Zeppelin”! Rok 1987 należy będzie do panów Page’a Planta, Jonesa i Bonhama”.

Zapewne grupa zamierza wznowić działalność wraz z synem albo innym krewnym nieżyjącego perkusiisty.

Na trzy miesiące przed występanu Falco w Japonii wyprzedano wszystkie bilety. Piosenkarka przywitała prawdziwie po japońsku, a jedynym znanym zawołaniem w kraju „kwitnącej wiśni” było: „I love you, Falco”.

Po śmierci Clifa Burtons, członkowie zespołu „Metallica”, którzy niedawno gościli w Polsce, wybrali na jego następcę spośród 100 basistów — Jasona Newsteda.

Bruce Springsteen i jego płyty koncertowe biją rekordy powodzenia. Płyta z pozycji zero trafiła od razu na pierwsze miejsce list przebojów w USA, a jeszcze przed wydaniem otrzymała miano platynowej.

Fot. ANDRZEJ SOKÓLSKI

ELTON — jaki jest

— Czy teraz jest łatwiej pisać piosenki, czy też lepiej to było robić przed laty?

— Dzisiaj pomysły przychodzą mi do głowy o wiele szybciej niż to było przed laty. Np. niedawno, gdy nagrywaliśmy „Leather Jackets”, zaraz po zakończeniu nagrań napisałem w trzy dni aż 17 nowych utworów. Nie narzekam więc na brak pomysłów i nie boję się, że za kilka lat źródło to może wyschnąć.

— Jak się zaczęła twoja kariera?

— Mieszkaliśmy razem z moją matką, babką i ciotką. One miały duże zbiory płyt i grały na pianinie. Mnie, oczywiście, muzyka pociągała od najmłodszych lat. Zaczęłem pogrywać mając trzy lata, grałem po prostu ze słuchu. Gdy byłem trochę starszy, zaczęto mnie posyłać do Royal Academy of Music. Od poniedziałku do piątku czas spędzałem w szkole, soboty na lekcjach pianina, a niedzielę na odrabianiu lekcji. Najchętniej wtedy grywałem rock’n’rolle.

— Jaki byłeś w tym czasie?

— Byłem nieśmiały, lękliwy i niepewny siebie. Wszystko to jednak skończyło się, gdy odniosłem pierwszy sukces. Lody puściły i jestem teraz taki, jaki jestem.

— Czy od najmłodszych lat myślałeś o karierze muzyka?

— Nie, tak nie myślałem. Owszem, chciałem pracować w tzw. branży muzycznej, ale poważnie o karierze muzyka nie myślałem. Marzyłem, że kiedyś będę sprzedawcą płyt. Nawet wtedy, gdy wydałem płytę „Elton John”, chodziłem do sklepu z płytami, który prowadził mój znajomy, i pomagałem mu w interesie. Zawsze fascynował mnie widok kręcącej się płyty.

— Które lata w swojej karierze uważasz za najbardziej płodne?

— Oczywiście te wcześnie, czyli do połowy lat siedemdziesiątych. Wtedy wydawało mi się, że każdy mój krok jest dobry, a wszystko, co robię, jest znakomite. Zresztą, utwory z tamtych lat podobają mi się do tej pory. Ale w życiu jest tak, że gdy osiągniesz sukces, przychodzi pewien przełom w tym, co się robi. W tej fazie tkwi obecnie Madonna, a Phil Collins ma to już za sobą.

Maxwell, kiedy tylko dowiedział się o zagadkowym zaginięciu Stefani, natychmiast wylał go z pracy, nie płacąc przy tym ani za legitymacji poborów, ani odszkodowania. Bez żony nie przedstawiał on dla niego żadnej wartości, był nikim, zerem, z którym mógł się nie liczyć.

Stosunki z Jill także nie układały mu się najlepiej, chociaż właśnie teraz, jak chyba nigdy dotąd, potrzebował czyjegoś ciepła. Wprawdzie wzięła go ona do swojego łóżka, ale zrobiła to tylko w tym celu, żeby w chwilę później móc urządzić mu awanturę. Marsdenowe bliźnięta, o istnieniu których nie miała najmniejszego pojęcia, były dla niej czymś w rodzaju tęgiego policzka, i nawet nie dlatego, że Greg był ich ojcem, ale że zrobił je bez jej wiedzy.

A istniał jeszcze Czeng, który wprawdzie ostatnio trochę jakby pofolgował; nie domagał się zwrotu pożyczki w nierealnym terminie, i był inspektor Collins ze swoimi podejrzeniami. Krótko mówiąc, było tego zbyt wiele jak na wątle nerwy Grega Marsdena, człowieka dwudziestosekstoletniego zaledwie, ale steranego już życiem, które zwłaszcza ostatnimi czasy dostarczało mu samych kłopotów i zmartwień.

W najbliższym otoczeniu Grega żyła przecież osoba bardzo mu życzliwa, o czym on sam, naturalnie, nic nie wiedział. A była to zakochana w nim do szaleństwa pokojówka Stefani, Siegrid Wolf, kobieta lat około pięćdziesięciu, emigrantka niemiecka, która przyjechała do Australii tuż po drugiej wojnie światowej, będąc w tym czasie jeszcze dzieckiem. Matka Siegrid, żona jakiegoś wyższego funkcjonariusza SS, skazanego przez aliantów na karę śmierci, była fanatyczną zwolenniczką Hitlera i jego brunatnej ideologii. Kiedy więc dotychczasowy jej świat zawalił się w gruzy, postanowiła wyjechać z kraju, żeby nie patrzeć na klęskę jej ukochanego nazizmu. Klęskę — dodajmy tutaj od razu — tymczasową, bowiem wierzyła ona święcie, że prędzej czy później nazizm odrodzi się i zwycięży.

Trzydziestoletnia Emma, wraz z czterastoletnią Siegrid, wyemigrowała do Australii, ponieważ przeczorny mąż i ojciec w jednej osobie pod koniec wojny otworzył im konto w jednym z banków w Sydney, za pośrednictwem agenta w Szwajcarii, wpłacając na konto dolary, uzyskane ze sprzedaży zrabowanych we wschodniej Europie kosztowności i różnych innych przedmiotów wartościowych. Na poczetek miały więc z czego żyć, i to całkiem dostatnio.

Emma, kobieta niestara jeszcze i piękna, nie wyszła jednak za mąż po raz drugi. Całe swoje życie poświęciła córce, wychowując ją na dobrą Niemkę, w duchu obowiązujących trzech „K” — Kinder, Küche, Kirche — a także w nienawiści do zgniłego liberalizmu i drobnomieszczańskiej demokracji australijskiej. Wychowanie to polegało — z grubsza biorąc — na przestrzeganiu ascetycznego niemal trybu życia, surowej dyscypliny i otoczeniu kultem dwóch nieboszczyków: wodza Trzeciej Rzeszy oraz esesmana-męża. I nie wiadomo w końcu na jakiego człowieka wychowywała swoją córkę, gdyby zrzędzeniem losu nie wpadła pod samochód, przechodząc jezdnię na pasach dla pieszych. Umierając zdążyła jeszcze wyrazić swoje o-

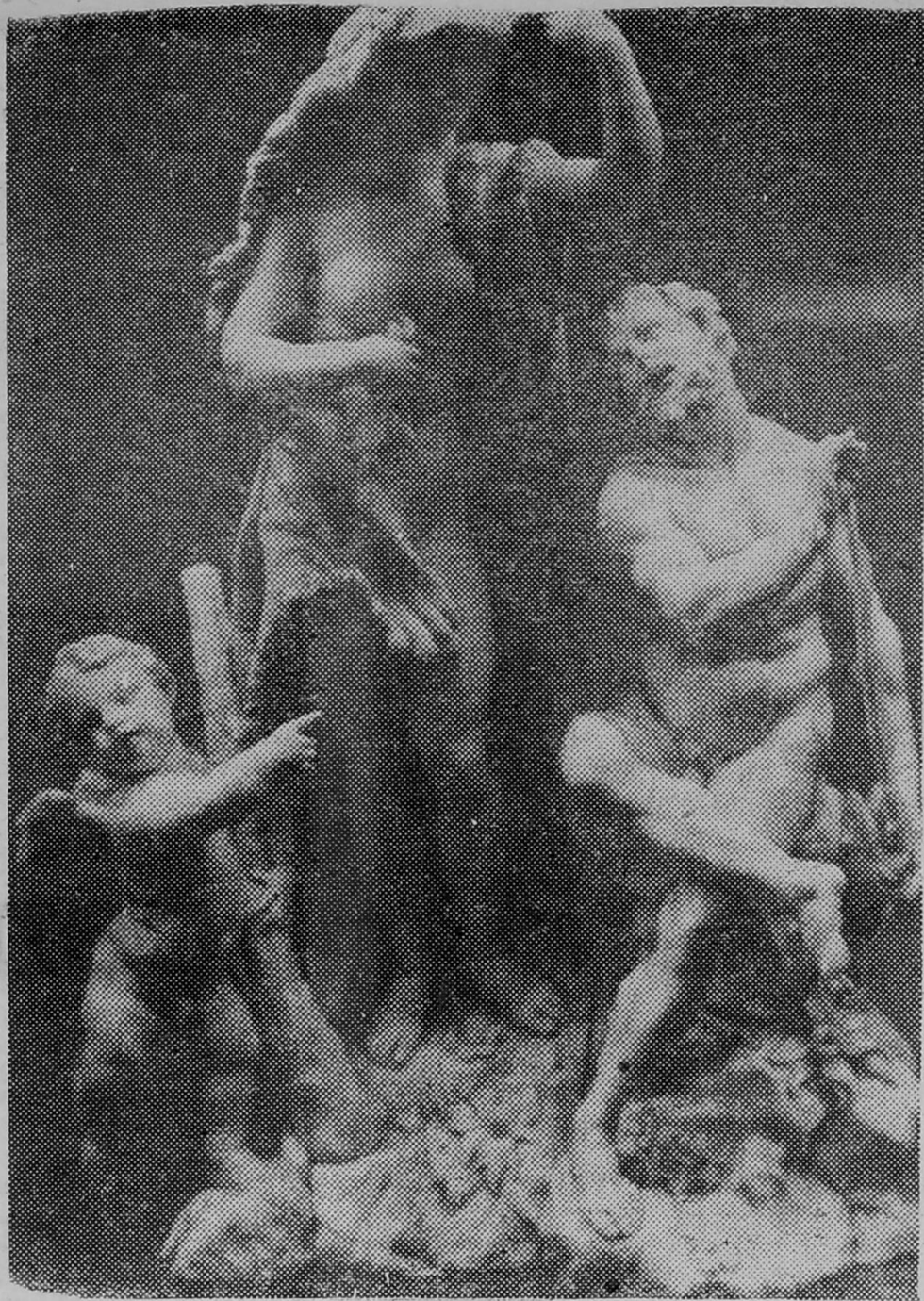
burzenie, i to nie z tego powodu, że ktoś ją przejechał, ale że zrobił to naruszając przepisy, co w jej pojęciu było absolutnie nie do wybaczenia.

Siegrid została sama mając lat osiemnaście, bez pieniędzy już, bez żadnego wykształcenia, a co gorsza bez przygotowania do życia, czy też raczej z przygotowaniem polegającym niemal wyłącznie na umiejętności sprzątania, gotowania i zmywania naczyń oraz znakomitego maskowania swoich myśli i uczuć, dzięki czemu nikt nie wiedział, że nienawidzi ona całego świata i wszystkich ludzi.

Przez ponad dwa lata była najpierw pomywaczką w barze szybkiej obsługi, u pewnego Niemca, który przy każdej okazji pakował jej rękę pod spódnicę. Później przeniosła się do hotelu, stamtąd zaś trafiła do domu Harperów. Milcząca, postulszna i pracowita, stała się wkrótce osobą niezastąpioną, kimś w rodzaju domownika mało uciążliwego, a jednocześnie absolutnie niezbędnego. Pokojówką była tylko z nazwy, bo w gruncie rzeczy zajmowała się prowadzeniem całego gospodarstwa; utrzymywała czystość, gotowała mniejsze posiłki, robiła zakupy, regulowała wszystkie rachunki, a kiedy pojawili się dzieci, zajmowała się także nimi, chociaż miały one specjalnie wynajętą, fachową pielęgniarkę. Przyjaciele i znajomi Harperów zazdrościli im posiadania tak wspaniałego pracownika, nie wiedząc oczywiście, jaką pogardę czuje do nich wszystkich panna Siegrid Wolf, prawdziwa — w swoim mniemaniu — kobieta niemiecka.

W istocie rzeczy ta biedna najpierw dziewczyna, a później już stara panna, kobietą nie była, a w każdym razie nie w tym sensie, w jakim zwykło pojmować się pełną Kobięcość. Nieboszczka matka zdołała wszczepić w nią przekonanie, że płciowe współżycie jest o brzydliwym służącym wyłącznie świadomej reakcji, natomiast miłość uczuciem ludzi słabych i bez charakteru. Siegrid żyła w przekonaniu, że postępuje w sposób jedynie słuszny, toteż tym większe było jej przerażenie, kiedy obudziwszy się pewnego dnia, niespodziewanie znalazła w sobie gwałtowną potrzebę bliskiego kontaktu z mężczyzną, i to na domiar złego z mężem jej chlebodawczyni. Gregiem Marsdenem! Przez kilka pierwszych dni usiłowała zdusić w sobie to idiotyczne uczucie, aż wreszcie poddała się, pokonana z kręceniem. Szczęściem dla niej, a być może i dla pozostałych aktorów tego komediodramatu, między małżonkami było już w tym czasie gorzej niż źle, bowiem gdyby rzecz miała się inaczej, mogłoby dojść nawet do jakiejś tragedii. Pierwsza miłość zasuszonej pięćdziesięciolatki eksplodowała z siłą bomby wodorowej, mogącej zniszczyć wszystko i każdego, kto ośmieliłby się stanąć na drodze prowadzącej do celu, którym było zdobycie Grega. Choćby na jedną tylko noc, na ten jeden jedyny raz, a potem niechby już nastąpił nawet koniec świata ze wszystkimi konsekwencjami wynikającymi z tego faktu.

Tajemnicze zniknięcie Stefani Siegrid przyjęła jak zrzadzenie boskie, przekonana, że oto siła wyższa umożliwiła jej start do walki o szczęście, a teraz tylko od niej będzie zależeć, czy i w jaki sposób dopnie celu. Doskonale wiedziała, że nie posiada żadnych atutów fizycznych, dzięki którym mogłaby wygrać tę partię, jedynie zaś, czym dysponowała, to spryt i siła woli, rozwinięte w stołownym przedstawicielki rasy panów, zmuszonej niepomysłnym ukła-



Legenda o Wandzie — krakowskiej królownie, „co nie chciała Niemca” i — wybrała samobójczą śmierć w nurtach Wisły, od kilku stuleci intryguje uczonych. Z oryginalną hipotezą wystąpił ostatnio warszawski archeolog, prof. Władysław Szafranski, że rodowód tej postaci można wywieść nie, tyle z legend polskich, co prosto z greckiego Olimpu.

W świetle tej hipotezy — postać Wandę jest śladem dawnego kultu księżycy (na naszych ziemiach był on uprawiany w epoce brązu i żelaza — ok. 4000 lat temu). Bóstwa księżycowe, decydujące o ludzkim losie, niosące śmierć, ale zapewniające odrodzenie i życie wieczne, były najczęściej przedstawiane w postaci dziewczycy. Bogini Księżycy miała zawsze dwóch braci bliźniaków, symbolizujących światło i ciemność, była też prześladowana przez r-

chalnego zalotnika. Wszystko to przystaje do legendarnej Wandę. Szczególnie ważny jest fakt, że u starożytnych Traków czczona była bogini Księżycy o imieniu Bendis albo Bendida. Z tego imienia językoznawcy wyprowadzają imię Wandę, które pierwotnie brzmiało Wenda. Wpływy kultury trackiej na ziemach polskich potwierdzają badania archeologiczne.

Mit o Wandzie stworzył Wincenty Kadłubek, wykorzystując prawdopodobnie jakieś ludowe podania. W tym czasie postać bogini Księżycy zatraciła już kultowy charakter i przekształciła się w bohaterkę ludowej klechdy. Kadłubek nadał podaniu o Wandzie pozory wydarzenia historycznego, a ze względów politycznych zostały doczepione akcenty patriotyczne i wątek niemiecki.

(Fot. CAF)

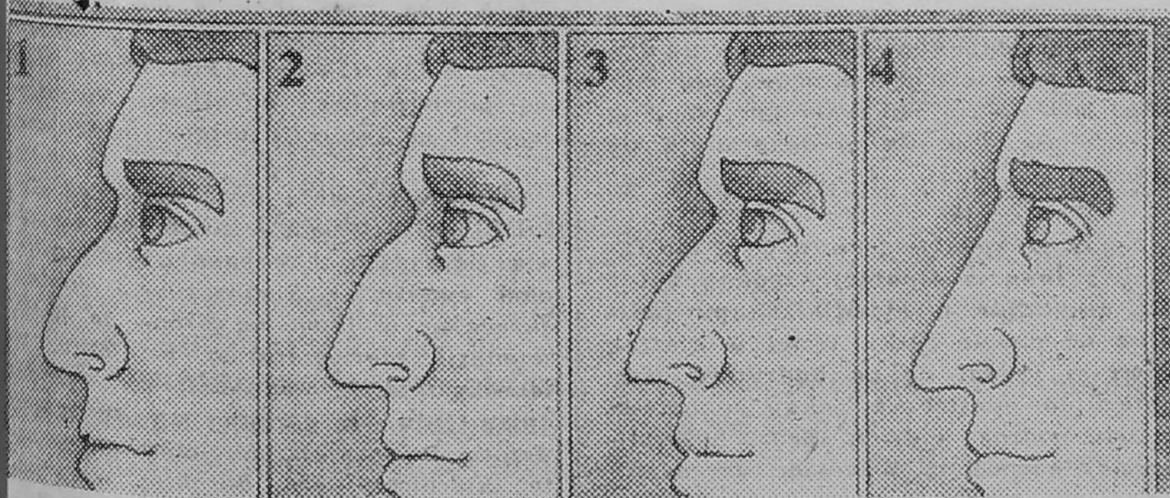
SWAWOLNIK

W restauracji przed północą jeden z biesiadników zwierza się swemu przyjacielowi: — Czuję, że moje chwile są policzone.
— Co ty wygadujesz, jesteś zdrowy jak koń, życie przed tobą!
— Teoretycznie tak, ale za chwilę wpadnie tu moja żona.

PSYCHOZABAWA W ODCINKACH

nos a charakter (2)

Poniższym czterem typom nosów dużych należy się przyjrzeć uważnie i wybrać ten, do którego nasz własny jest najbardziej zbliżony, po czym przeczytać stosowną charakterystykę.



1. Nos rzymski. Osoby o takim nosie cechuje odwaga, wytrwałość w działaniu, niepoddawanie się przeciwnościom losu. Są wrażliwe na krzywdę czy potrzeby innych ludzi, ale często też potrafią być przebiegli. Ogólnie można powiedzieć, że posiadaczy takich nosów cechuje mądrość życiowa.

2. Nos orli (z garbem w górnej części) mają osoby o dużych zasobach energii i witalności. Cechuje je skłonność do dominowania; często podejmują próby podporządkowania sobie innych ludzi. Są otwarci i życzliwi w stosunku do otoczenia, a czasami bywają nierozważni i kierują się impulsem.

3. Nos haczykowaty (garb w dol-

nej części) jest wyrazem przebiegłości, chciwości, często fałszu. Jego właściciela cechuje duża aktywność w działaniu, przy dystansie do otoczenia o ironicznym, kpiącym zabarwieniu. Nos ten często występuje u szpiegów, intrygantów, ale też i dyplomatów.

4. Nos grecki świadczy o dużej inteligencji. Jego posiadaczy cechuje trzeźwe podejście do życia (często wręcz prozaiczne); swoją miłą powierzchowność potrafią wykorzystać do załatwienia ważnych życiowych spraw. Przeważnie są optymistami.

Charakterystyka osób o małych nosach — w ostatnim odcinku.

ALICJA

NAJWONNIEJSZE MIODY SWIATA

W zgodnej opinii znawców — są nimi miody tymiankowe, pochodzące ze wzgórz w Grecji, porośniętych tym aromatycznym ziołem. Ponoć tamtejsze słońce wydobywa z kwiatów najwspanialszy nektar, a pszczoły zamieniają go w najlepszy miód świata. Do najwonnieszych miódów w Europie ponadto należą powstałe na bazie nektarów z roślin wargowych (macierzanka,

lawenda, szalwia, mięta). Na Kubie najwonnieszy jest miód z nektaru kwiatów pomarańczy oraz rozmarynu. Miód z Sawoi „zalatuje” terpenyną, hiszpański ma smak jałowca, a o miodzie z Sardynii mówi się, że jest gorzkawy. W Polsce za najlepszy uchodzi lipowy. Gryczany i wrzosowy są chętnie używane do wypieku i przetworów.

kłopoty kukułki

Kukułka bynajmniej nie z lenistwa podkłada jaja do cudzych gniazd. Z nie wyjaśnionych dotychczas przyczyn jedynie ten właśnie ptak ma bardzo długi okres składania jaj, bowiem znosi je przez cały miesiąc. W tej sytuacji nie ma żadnej szansy wykarmienia pierwszego pisklęcia z równoczesnym siedzeniem na pozostałych jajkach.

groźne chrapanie

Grupa lekarzy kanadyjskich, która całe lata poświęcała badaniom zjawiska chrapania, stwierdza, że — niestety — nie ma na nie lekarstwa! Chrapią głównie mężczyźni po czterdziestce, ale w ostatnim dziesięcioleciu zaczyna chrapać coraz więcej kobiet, zwłaszcza w tzw. państwach przemysłowych.

Dotychczas mówiło się, że ofiarą chrapania jest ten, kto śpi z chrapiącym w jednym łóżku lub pokoju. W świetle wspomnianych badań — prawdziwą ofiarą okazuje się sam chrapiący. Chrapanie w skrajnych przypadkach może doprowadzić do ustania pracy serca na skutek niedotlenienia mięśnia, bowiem chrapiący bardzo nierytmicznie oddycha i pobiera podczas snu mniej tlenu, niż potrzebuje organizm.



ciężkie czasy dla aktorów

Tysiące kandydatów na aktorów, przybywających do Nowego Jorku z nadzieją zaangażowania się do któregoś z teatrów na Broadwayu względnie otrzymania oferty z filmu, podejmują niskopłatne zajęcia, okupują studia filmowe i biura agentów. Nie mniejsze trudności przeżywają zawodowi aktorzy. Według rzeczownika nowojorskiego oddziału Związku Aktorów Teatralnych, liczącego 22 500 członków, większość (ok. 85 proc.) pozostaje bez pracy w związku z ograniczeniami repertuarowymi broadwayowskich teatrów.

(Fot. CAF)

sukcesy krokodyla

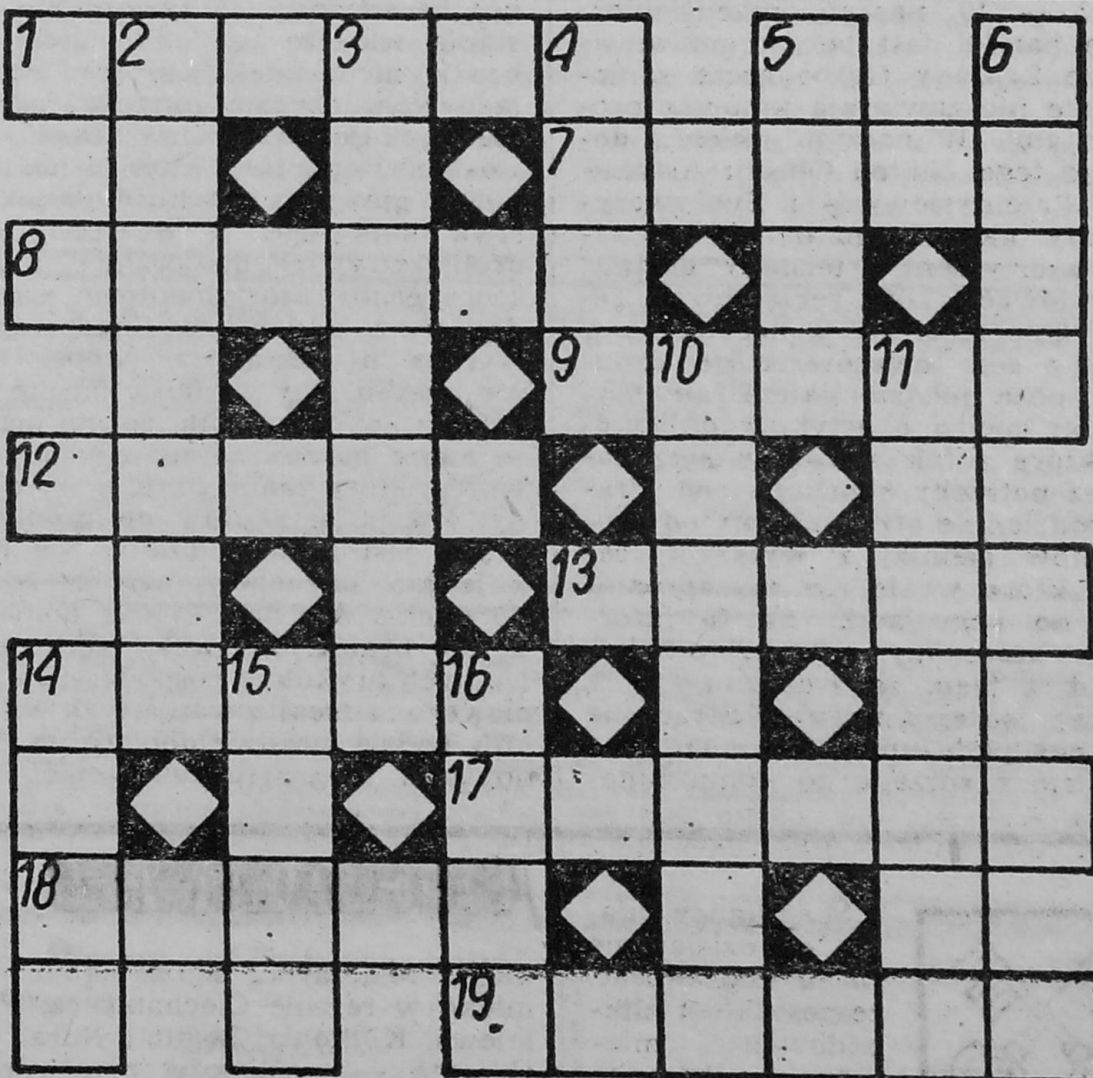
Drugie miejsce na liście najbardziej oglądanych filmów w USA zajęła w ub. roku australijska komedia „Krokodyl Dundee”. Jak pisał amerykański prasa, „od Chicago do Nowego Meksyku — publicz-

ność ubóstwia ten film”. W jednej z ważniejszych scen dzieła łowca północnoaustralijskich krokodyli próbuje odgadnąć przeznaczenie bidetu, i ten niewybredny numer okazał się intratny; przyniósł 100 milionów dolarów zysku przy 6 milionach kosztów produkcji i 5 — wydatków na reklamę.

NIE ZNANY GOYA?

W północnohiszpańskim mieście Huesca odkryto nie znany obraz Goyi z roku 1782, przedstawiający postać profesora Antonia Veiana. Do 1950 roku wisiał on w auli uniwer-

sytetu, skąd został przeniesiony do magazynu. Dopiero niedawno zwrócili na niego uwagę historycy sztuki; po dokładnym zbadaniu stwierdzili, że wyszedł spod pędzla Goyi.

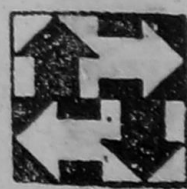


POZIOMO: 1) recenzent, 7) pojazd Lecha Piaseckiego, 8) coś z wędlin, 9) boczna część ciała, 12) gwóźdź, 13) przeciwieństwo przyłotu, 14) „porywisty” pisarz, 17) imię Platera, 18) odznaczenie, 19) Etna, Apo.

PIKOWO: 2) ciało stale rozpuszczone w cieczy, 3) przedmiot lichi, niedbale wykonany, 4) wapienny płaskowyż w pn.-zach, części Gór Dynarskich, 5) świta, orszak, 6) oręż, 10) w porzekadle kojarzy się z linią rodzinną, 11) obszar rozciągający się wokół, 14) ryba słodkowodna, 15) duże naczynie piwowarskie, 16) żyłka na liście. („GENTO”)

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10 dni nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy radiodbiornik (ufundowany przez Spółeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka” w Łomży) i książki.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru 8/87 radiodbiornik wylosował LEON RADZISZEWSKI (Łomża), a książki SEBASTIAN LENKIEWICZ (Grajewo) i ANNA TOMALA (Mszana Dolna).



wieści gminne

MAŁY PŁOCK. W ubiegły piątek grupa milicjantów i leśników spe-
netrowała las w poszukiwaniu klu-
sowników. Nie mniej groźne od lu-
dzi są bezpańskie psy; w ich przy-
padku również różnego rodzaju akcje
nie dają efektów. Nie każdy myś-
liwy „ma sumienie” strzelać do
psów, a właściciele nie chcą się
przynajmniej do swoich czworonogów.

● Zima się przeciąga. Nadal
brakuje węgla, a w lesie pod za-
marzniętym śniegiem trudno szu-
kać opału. Ponadto rolnicy nie mają
czasu na wyprawy po opał, stąd
wniosek, aby drewno było w skła-
dzie opałowym Gminnej Spółdziel-
ni. Tyle że w innych gminach, gdzie
próbowano w składach sprzedawać
drewno, nie było na nie nabywców.

● Ostatnio z Małego Płocka nie
można dodzwonić się do Zambro-
wa. Pośredniczymy w prośbie do
WZIR-u o przysłanie w sukurs fa-
chowców, którzy — zgodnie z
wcześniejszą umową — będą poszu-
kiwać wody w okolicach Rogienic.

● PZU nie wspomaga budowy
ośrodka zdrowia w Małym Płocku,
bowiem z tego funduszu mogą być
wznoszone ośrodki tylko w tych re-
jonach lekarskich, które obsługiwa-
łyby 9-16 tysięcy osób, a z tego
ośrodka korzystają 4 tysiące ludzi.
Pozostaje więc modernizacja do-
tychczasowego budynku, co — jak
wiadomo — jest zadaniem trudniej-
szym niż budowa nowego.

● Entuzjazmu rolników nie wzbudziła
decyzja zniesienia reglamentacji
na niektóre maszyny, np. sno-
powiązarki i kopaczki do ziemni-
ków. Rolnicy powiadają tak: jeśli
maszyna zostanie mi przydzielona,

wcześniej czy później ją kupię, a
tak trzeba czekać cztery noce w ko-
lejkę i nie wiadomo, czy się do-
stanie.

GRABOWO. Jako brak zaintereso-
wania problemami gminy potraktowa-
li radni nieobecność prezesa
Gminnej Spółdzielni na ostatniej
sesji Rady, na której dyskutowano
był plan gospodarczy gminy. Sporo
zadań przewidziano w nim Gminnej
Spółdzielni.

● Zespoły dziecięcy i kobiety
„Grabowanie” uświetniły gminne
obchody Dnia Kobiet. Nauczycielki
wyrzuciły życzenie, aby fundusz
przewidziany na upominki przezna-
czyć na budowę mieszkań dla nau-
czycieli. Już wcześniej pedagogzy
dobrowolnie opodatkowali się na
ten cel i każdego miesiąca wpłacają
po 6 tysięcy złotych. Natomiast wy-
łącznie z funduszy państwowych re-
montowana jest stara szkoła na
osiem mieszkań; razem ze współfi-
nansowanymi przez nauczycieli bę-
dzie ich 11.

● W najbliższym czasie odbędzie
się rozdziel maszyn. W porównaniu
do ubiegłorocznego rozdzielnika —
więcej ciągników otrzymają ci, któ-
rzy już posiadają traktor, inaczej
wypadałoby przydzielać je dwuhek-
tarowcom, co klóciłoby się z zasa-
dami ekonomiki. Trudno będzie
jednak znaleźć chętnych na fergu-
sony, może więc wyłączyć je z re-
glamentacji?

● Może udałoby się wprowadzić
wieczorne (ok. 19.00) połączenie
PKS-owskie pomiędzy Kolnem a
Grabowem przez Grabowo i Szczu-
czyn? Chodzi o dojazd z tych miej-
scowości do pociągu wozącego pa-
sażerów do Szczecina i Wrocławia.

z przyjaznych szpał

„Sztandar Młodych” (nr 36/87) za-
mieścił rozmowę z Mieczysławem
Czerniawskim, I sekretarzem KW
PZPR w Łomży. Fragmenty wypo-
wiedzi:

„Do młodych członków partii Ko-
mitet Wojewódzki dociera w spo-
sób określony statutem. Spotykamy
się także, gdy jesteśmy zaproszeni,
z członkami organizacji młodzieżo-
wych. Ale organizacje zrzeszają
tylko 1/3 młodzieży województwa.
Postanowiliśmy więc spotykać się z
młodymi bezpartyjnymi robotnika-
mi, rolnikami, absolwentami wyż-
szych uczelni pracującymi w na-
szych przedsiębiorstwach i instytu-
cjach. Po raz pierwszy zapropo-
nowaliśmy rozmowę z wojewodą i I
sekretarzem KW stu pięćdziesięcio-

osobowej grupie takich ludzi, któ-
rzy nie należą również do żadnej
organizacji młodzieżowej [...]”

Tam, gdzie dzieje się dobrze, wy-
starczy, że o tym się wie. Nie po-
winną się ludziom przeszkadzać.
Trzeba się skupić na podtrzymaniu
klimatu dobrej pracy. Ale tam,
gdzie panuje zastój, marazm, wystę-
pują nieprawidłowości, partia po-
winna wkraczać i to ostro. Naj-
pierw z inspiracją do działania, z
podpowiedzią, sugestią, radą, prze-
strógą, a gdy to nie pomoże — z
interwencją. I tak też postępuje-
my. Staramy się nie wyręczać ni-
kogo w podejmowaniu decyzji. Na
dłuższą metę jednak rodzi to ase-
kurantstwo i poczucie ubezwłasno-
wolenia [...]”

Wojewódzki Szpital Zespolony w Łomży

OGŁASZA PRZETARG OGRANICZONY na roboty budowlane

W przetargu mogą brać udział jednostki gospodarki uspo-
łecznionej.

Przetarg odbędzie się w dniu 27.03.1987 r. o godz. 11.00 w
budynku Wojewódzkich Przychodni Specjalistycznych, ul. Szo-
sa Zambrowska 1/27.

Przedmiotem przetargu będzie:

- wykonanie ogrodzenia Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego
w Łomży od ulicy M.C. Skłodowskiej,
- rozbudowa budynku chlorowni na terenie Wojewódzkiego
Szpitala Zespolonego w Łomży,
- wykonanie elewacji i obróbek blacharskich oraz pokrycia
dachu na Pawilonie Zakaźnym.

Oferty należy składać w dniu poprzedzającym przetarg w
budynku Wojewódzkich Przychodni Specjalistycznych, ul.
Szosa Zambrowska 1/27 w Łomży.

Z dokumentacją projektową i szczegółowymi warunkami
przetargu można się zapoznać w dniu 23.03.87 r.

Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wyso-
kości 20 tys. zł do kasy Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego
w Łomży najpóźniej do godz. 10.00 w dniu przetargu.

Zastrzega się, że zamawiającemu przysługują prawo swobod-
nego wyboru oferty jak też uznania, że przetarg nie dał rezul-
tatu, bez podania przyczyn.

K-95

ogłoszenia drobne

DOM pół bliźniaka — sprzedam. Wiado-
mość: ul. Strzelców Kurpiowskich 31.
p 180-0

OFERTY matrymonialne krajów euro-
pejskich wysłać Biuro Mazury, Olsztyn,
skrytka 336.
K 55-0

DZIAŁKĘ budowlaną z materiałami —
sprzedam. Zawady Przedmieście 25.
p 145-00

CZYSZCZENIE dywanów i wykładzin
w domu klienta. Osójca, tel. 23-06 (po
18.00).
K-882

ZGUBIONO prawo jazdy nr ABT 0262/
79. Andrzej Konopka, Poryte — Jabłoń
31, 18-300 Zambrow.
K-875

ZGUBIONO prawo jazdy kat. ABT, nr
0332/77. Leonard Mroczkowski, 18-314 Za-
wady.
K-876

ZGUBIONO prawo jazdy kat. T na
nazwisko Ewa Piontek, Czarnocin 88,
18-421 Piatnica.
K-877

ZGUBIONO prawo jazdy kat. 3. Henryk
Galanek, zam. Filipki Małe, 18-505 La-
chowo.
K-880

ZGUBIONO prawo jazdy kat. ABC. Jan
Budziński, Lipowa 18, 18-423 Przytuły.
K-883

ZGUBIONO prawo jazdy. Adam Dzię-
gielewski, Dzięgiele, gm. Stawiski.
K-885

ZGUBIONO prawo jazdy kat. ABCD.
Bastek Edward, Stanisławowo, gm. Zbój-
na.
K-886

WOJEWÓDZKA SPÓŁDZIELNIA OGRODNICZO-PSZCZELARSKA

w Łomży, ul. Gwardii Ludowej 14,

ZATRUDNI

◆ dyrektora Zakładu Budowlano-Transportowego — wykształ-
cenie wyższe techniczne + 8 lat pracy, w tym 4 lata na sta-
nowisku kierowniczym lub samodzielnym.

Wymagane są uprawnienia budowlane.

Pozostałe warunki pracy i płacy do uzgodnienia w Dziale
Służb Pracowniczych WSOP w Łomży, tel. 62-71 wew. 222.
K-91

NACZELNIK GMINY ŁOMŻA

ul. Turlejskiego 10,

OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY

na budowę budynku Szkoły Podstawowej w Pniewie, gm.
Łomża. W przetargu mogą brać udział przedsiębiorstwa pań-
stwowe, spółdzielcze i prywatne. Otwarcie ofert nastąpi po u-
pływie dwóch tygodni od chwili ukazania się ogłoszenia.

Dokumentację techniczną oglądać można w siedzibie Urzędu
Gminy w Łomży pokój nr 10.

Zastrzegamy swobodny wybór oferenta.

K-92

ZAKŁAD REMONTOWO-BUDOWLANY

przy Urzędzie Miejskim w Łomży

ul. Ks. Kardynała Wyszyńskiego 2

ogłasza II przetarg nieograniczony

na sprzedaż samochodu marki Nysa T-522, rok produkcji 1979,
cena wywoławcza 100.000 zł. Przetarg odbędzie się dnia
1987.03.17. o godz. 12.00 w biurze Zakładu. Zgłoszony do prze-
targu pojazd można oglądać w dni robocze w godz. 9.00—14.00
na placu Zakładu. Przystępujący do przetargu winni wpłacić
wadium w wys. 10 proc. ceny wywoławczej do kasy Zakładu,
najpóźniej do godz. 10 w dniu przetargu.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez podania
przyczyn.

K-94

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Zam-
browie, w postępowaniu przyspieszonym ukarało prawomocnym orzeczeniem z
art. 147 § 1 KW, Ob. Stanisława Pisarskiego, s. Juliana, ur. 1.03.1935 r., zam.
Zambrow, ul. Łomżyńska 2/8, karą zasadniczą grzywny w wys. 30 tys. złotych
z zamianą na 60 dni aresztu zastępczego, jako karę dodatkową orzekło: podanie
treści orzeczenia do publicznej wiadomości w „Kontaktach” na koszt obwinione-
go, obciążało kosztami postępowania w wys. 1000 zł, za to, że w okresie od
lipca 1984 r. do 3 lutego 1987 r. będąc zameldowany w Zambrowie, ul. Łom-
żyńska 2/8 wybył do nieznanej miejscowości bez dopełnienia obowiązku mel-
dunkowego w Biurze Ewidencji Ludności Urzędu Miasta i Gminy w Zambro-
wie.
k 57-1

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Zam-
browie, w postępowaniu zwyczajnym ukarało prawomocnym orzeczeniem z
art. 51 § 2 KW, Ob. Jerzego Sobutkę, s. Juliana, ur. 27.02.1935 r., zam. Andrzejewo,
ul. Wysocka 14 karą zasadniczą grzywny w wys. 30 000 zł z zamianą na 60 dni
aresztu zastępczego, jako karę dodatkową orzekło: podanie treści orzeczenia do
publicznej wiadomości na łamach tygodnika „Kontakty” na koszt obwinionego
oraz obciążało kosztami postępowania w wys. 1.000 zł za to, że w dniu 22.12.1986
r. około godz. 17 w barze agencji w Andrzejewie, będąc w stanie po spo-
życiu alkoholu zakłócił ład i porządek publiczny poprzez używanie donośnym
głosem słów wulgarnych oraz rzucając i zbijając kufel od piwa.
k 58-1

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży orzecz-
niem zaoznym nr A-1525/86 z dnia 12 grudnia 1986 r. ukarało Stanisława Prze-
strzelskiego, s. Tomasz, ur. 1942-01-13, zam. Łomża, karą grzywny w wysokości
50 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 80 dni aresztu, za-
kazem prowadzenia wszelkich pojazdów na okres 3 lat oraz karą dodatkową w
postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kon-
takty” na koszt ukaranego za to, że dnia 5 października 1986 r. ok. godz. 8.30
na ul. Gwardii Ludowej kierował ciągnikiem marki „Ursus”, będąc w stanie
po użyciu alkoholu, oraz kierował ciągnikiem nie mając do tego uprawnień
ani wymaganych dokumentów.
K-88

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży orzecz-
niem zaoznym nr A-1411/86 z dnia 14 listopada 1986 r. ukarało Zenona Wa-
rzyńczyka, s. Jana, ur. 10.03.1954 r. zam. Łomża, karą grzywny w wysokości
35 000 zł, zakazem prowadzenia pojazdów mechanicznych na okres 3 lat oraz ka-
rą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w
tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranego za to, że w dniu 24 września 1986 r.
o godz. 20.45 na trasie Łomża—Wizna kierował samochodem marki „Fiat 126p”,
będąc w stanie nietrzeźwości alkoholowej (2,08 prom.), nie zatrzymał się do
kontrolli drogowej oraz kierował pojazdem nie mając do tego uprawnień.
K-89

Wyrazy głębokiego współ-
czucia

BARBARZE
KAMIŃSKIEJ
powodu śmierci
MATKI

składają:
Zarząd oraz pracow-
nicy Spółdzielni Mie-
szkaniowej „Perspe-
ktywa” w Łomży.
K-87

Wyrazy głębokiego współcu-
cia koleżance

mgr WANDZIE
CHROSTOWSKIEJ

nauczycielce Szkoły Podsta-
wowej Nr 1 w Łomży
z powodu zgonu
MATKI
składają współpracownicy.
K-879

15

KONTAKTY
1987-03-15

ADRES REDAKCJI: ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża. Telefony 42-43 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (ca redaktor naczel-
nego i sekretarz redakcji) Telex 85-22-85. Wydawca: RSW „Prasa Książka Ruch”. Białostockie Wydawnictwo Prasowe. 15-059 Białystok, ul. Weso-
łowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne. 360/87 r. Nakład 22 200 egz. PL ISSN 0208 6840. Nr indeksu 36 328. Ogłoszenia przyjmują
Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty”, 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju.
Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata kwartalnie — 260 zł, półrocznie — 520 zł, rocznie — 1040 zł. Tekstów: nie
zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skróć i zmiany tytułów W-4

KONTAKTY

podredakcyjna ekstrapocztła

Motto:
Dobrze czy źle
było dużo.

SZANOWNA PODREDAKCJO!

Nie wiem, czy można Was traktować serio, czy też na zasadzie wygłupu, do czego raczej skłania lektura „Konszachtów”. Ale ja jednak spróbuję zaproponować Wam coś, co być może podniesie poziom pisma na wyższy poziom i w ten sposób zdobędziecie nowych czytelników, zadowolonych z czytania tej lektury. Otóż chodzi mi o możliwość wprowadzenia stałej rubryki matrymonialnej, w której będą się mogły ogłaszać osoby (bezpłatnie!) poszukujące sobie partnerów, niekoniecznie zaraz na całe życie. W końcu ludzie podrywają się na ulicy czy w kinie i nic w tym nie ma strasznego. Czemu więc nie można tego załatwić oficjalnie? Ja pierwszy daję przykład: Młodzieniec lat 28 poszukuje bliskiej sobie panny w wieku do lat 22. Kolor włosów obojętny. Potrzebna zgrabność sylwetki i miły charakter!

Tak to mniej więcej może wyglądać.

Pozostaje z szacunkiem.
(Nazwisko tylko do wiadomości podredakcji)

WIEŚCI PONADGMINNE

Smutne wieści napływają jedynej w świecie czarnej giełdy w Berlinie Zachodnim, gdzie miejscowi cinkciarze skupują waluty krajów socjalistycznych. Oto za 100 złotych polskich jeszcze pół roku temu można było otrzymać 22 fenigi, a obecnie już tylko 10. Wynika z tego, że wartość naszego pieniądza spadła w tak krótkim czasie o ponad 100 proc. Naszym ekonomistom i bankowcom powinno dać to wiele do myślenia. Jednakże mnie interesuje w tej chwili zupełnie co innego.

Z prostych obliczeń matematycznych wynika, że jedną

markę zachodniemiecką można kupić na tej giełdzie za 1000 złotych. U nas nawet dolar tyle jeszcze nie kosztuje, choć z wolna zbliża się do taureau. Dzieje się zatem coś zupełnie niezrozumiałego, co jest całkowicie sprzeczne z logiką, bo po raz pierwszy bodaj w naszej powojennej historii polski cinkciarz, nie wytrzymując tempa, pozostał w tyle.

A swoją drogą: jaki to Polak sprzeda Niemcowi patyka za markę? Co jak co, ale liczyć to my przecież potrafimy.

KOMENTATOR

CZY TO JEST CZŁOWIEK?

Wódkę dziś Polak pije ze szklanki
Czyżby kieliszek zrobił się ciasny?
Chleje z butelki, ba, nawet z kanki,
Wyrób państwowy, a czasem własny.
Chociaż ustawy są tak surowe,
Całkiem do niego nie docierają
Robotnik pensję, a rolnik krowę,
Wszystko co mają, to przepijają.
Jeden już leży pod jakimś plotem,
Drugi swe gacie w rękę trzyma,
Gdy wytrzeźwieje, to powie — co tam
Ja jestem człowiek, zwierzę — to świnia.

Nota biograficzna: Tadeusz Grabowski, Kruszwica-Brodowo 64, 18-218 Sokoły, woj. Łomża.

KRYZYSOWE JEDNO DANIE

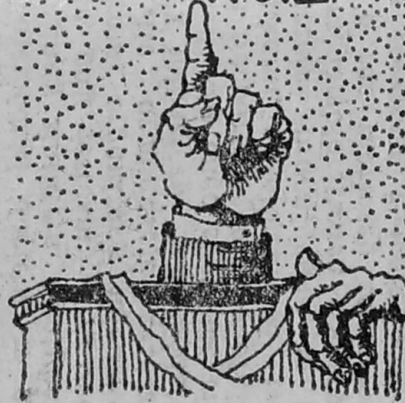
obiad bezkaloryczny

Talerze i sztuce ustawić na stole według obowiązujących powszechnie prawideł sztuki gastronomicznej. Gości zaprosić, rozsadzić, pamiętając o osobniczej hierarchii. Zabawiać przez

około 1/2 godziny, a potem powiedzieć z uśmiechem: „Moim drodzy, na dzisiaj to już wszystko”. Tanie i zdrowo, prawda?

GOSPODYN!

W TYM TEMACIE



z urzędowej tablicy ogłoszeń

„Do pracowników pionu administracyjnego!

Niniejszym zabrania się pracownikom tut. zakładu na chodzenie do bufetu zakładowego w porach dowolnych, tj. od rana do końca pracy. Przypominamy, że poszczególne działy liczone piętrami mają prawo do odwiedzin w bufecie w czasie określonym przez regulamin bufetowy, tylko w nielicznych przypadkach losowych można zejść wcześniej po udokumentowaniu bezwzględnej potrzeby na zejście do bufetu. Dla pracowników, którzy nie stosują się do opracowań regulaminowych, są kary wewnętrzne, z nagana osobistą włącznie lub potrąceniem z premii do 15 proc. pieniędzy.”

DYREKTOR
(podpis czytelny)

Zdzirzyła, niewiasta głupawa, jak wszystkie zresztą nadmiernie rozpasane, którym w głowie owa jedna tylko sprawa, nie domyślając się postępu, do alkozy wyszła po sznur konopiasty. Wróciła rychło z motkiem liny do wiązania krów i byków zadzierzastych.

— Oto sznurowadło, które mnie do raju zawiedzie, ciebie zaś na tamte światy — powiedziała z błyskiem w oku, jaki znamionuje silnie podochoczone baby. — Bierz go i wiąż mnie mocno, tylko najpierw pozwól, iżbym się do naga rozebrała.

„Ooo, co to, to nie! — pomyślałem sobie roztropnie. — Kto wie, co mogłoby się stać, gdyby się rozdziała? Może o mam jakiś padibę na me mózgi i żegnaj, świecie mój ukochany!”

Tak sobie pomyślałem, zaś powiedziałem całkiem inaczej: — Panno biedrzasta, pozwól jednak, bym cię związał najpierw, a dopiero później, już spętana, cię rozgołę. Jest to dla mnie bardzo ważne, gdyż innej nie umiem związać baby, jak tylko kompletnie odzianej.

Z PAMIĘTNIKA SEKSUALISTY (135)

— No, cóż — Zdzirzyła wrzuciła strzelistymi ramionami, z których jedno było jakby trochę krótsze od drugiego. — Jeśli taka twoja wola, tedy mnie zwiąż, alści tak, abym w każdej chwili mógł odzienia mnie mimo pęt pozbawić.

— Ma się rozumieć! — wrzasnąłem i rzuciłem się do wiązania szantrapy.

Sznura było może ze trzydzieści arszynów, toteż takem ją dokładnie omotał, iż rychło do mumii farańskiej upodobniona została. A kiedyś dzieło swoje ukończył, w te słowa się odezwałem: — Zdzirzyldo kaprawa! Prawda jest, iżem niewinny jak pierwiosnek wiosenny i nigdy z żadną babą się dotąd nie zadowalał. Prawda jest również, iż po świecie tułam się szerokim, aby wreszcie zakosztować gdzieś tej strawy, ale jest i taka prawda, że życia nie zamierzam się pozabawiać, nawet jeśli w nagrodę za to uzyskam wreszcie możliwość dogłębnego poznania owej najważniejszej w życiu tajemnicy ludzkiego bytowania. Tedy żegnaj, o pani, i nie myśl o mnie źle. Tuszę, iż się w życiu nigdy już nie spotkam.

(Cdn.)

MINI-KABARET PIEKIELKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT

INTERPERSONALNO-ADMINISTRACYJNY

PT.

SZCZĘŚLIWY POWRÓT

(Miejsce akcji: pulwy nadnarwiańskie w pobliżu wojewódzkiego miasta Łomża, gdzie krze same a mamory oraz oczyszczalnia ścieków. Przy niezbyt wesoło trzaskającym ogniu rachitycznego ogniska siedzą cztery, dobrze znane nam, diablę).

BUZAŃSKI: — Koledzy moi rogać! A może jednak damy wypowiedzieć się naszemu bagiennikowi Biebrzańskiemu, co będzie bardzo z naszej strony humanitarne. Popatrzcie tylko, jak on wygląda. Pożółkły cały, zsiniały, pozielone nawet, a także wychudł i skapcianał. Co wy na to?

NARWIAŃSKI: — Bo ja wiem?

SUPRAŃSKI: — Może faktycznie niech coś powie. Wygląda ma taki, jakby kopyta chciał lada chwila wyciągnąć, do czego dopuścić nam przecie nie wypada. Mówcie, diablę!

BIEBRZAŃSKI: — Eeee, wrrrr, zzz, tego, co to ja, abyśmy, nieprawdaż, i tak dalej.

BUZAŃSKI: — Rozum mu się pomieszał od tego przez nas do głosu niedopuszczania. Ajajaj! Przykra sprawa. Kochany, skup się troszkę i powiedz w miarę normalnie!

BIEBRZAŃSKI: — Kiedy ja, faktycznie, tego, to tamto...

SUPRAŃSKI: — O, już lepiej! Mówcie, kulię, dalej.

BIEBRZAŃSKI: — Ale o czym, tego? Przez tyle tygodni, prawda, żeście mnie do

głosu, albowiem, nie dopuszczaliście, tyle się spraw, tego, nabierało, że nie bardzo wiem, azali, od czego mam zacząć.

NARWIAŃSKI: — Od czegokolwiek. I tak wam gadać dajemy tylko po to, żebyście do końca nie zapyzieli. Walcie, śmiało! Nikt was nie słucha, nie ma sprawy.

BIEBRZAŃSKI: — Skoro tak, no, to inna, prawda, sprawa. Od czego by tu zacząć? Aha! Zaczne od fotografowania! W goniedzkim Domu Kultury aparat bowiem jest za trzysta tysięcy nabyty i teraz, cyk-pstryk, mogę wam mordercy wasze poobrabiać.

NARWIAŃSKI: — Czego? Coście powiedzieliście?

BIEBRZAŃSKI: — Coście słyszeliście! Nie będziecie tutaj skocznie podskakiwali, bo was sfotografuje, jak ze mną podgrywacie, i w ten sposób zrobię z wami klapę! Mam też na was inne jeszcze haki, które w odpowiednim czasie, gdzie trzeba, poprzestawiam.

BUZAŃSKI: — Kolego, czy wam się czasem we łbie nie pomieszało?

BIEBRZAŃSKI: — O takich sprawach to ja z wami nie będę gadał. Napiszę, gdzie trzeba, i zaraz o was gdzie nie trzeba będzie napisać!

NARWIAŃSKI: — No i teraz widzicie, koledzy, jak to jest, kiedy diabeł chce pomóc diabłu!

UNIWERSALNA WRÓŻBA 7 TYGODNIA

W tym tygodniu istnieją szczególnie sprzyjające warunki do wykonywania prac umysłowych. Usiądź zatem po swojej pracy, najlepiej w domu i bez przyjaciół, i pomyśl chociaż troszkę. Nie jest ważne, o czym będziesz myślał.

grunt, żeby Twoje szare komórki popracowały. Musisz pamiętać, że organ nie używany zanika! To i owo już Ci zanikło, więc powiedz sobie: basta! I zacznij myśleć.

KASSANDER

przysłowie PÓŁPRAWDA tygodnia W OCZY NIE KOLE